

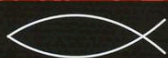
NA CD: ŚWIEŻE PRZEBOJE NA WIOSNĘ + TELEDYSK LOLEK

RUaH

34/2006

MAGAZYN
MUZYCZNY

KWARTALNIK
www.ruah.pl



14,90 zł
w tym VAT 0%

PIOTR WOJTASIK
nie chcę być turystą-sceptykiem

HABARI NJEMA
podróż w krainę reggae

HARLEM GOSPEL CHOIR
na trasie w Polsce

BRIAN WELCH 'HEAD
gitarzysta KORN'a wraca do Ewangelii

KATOLIKA FRONT
spowiedź ratuje nam życie

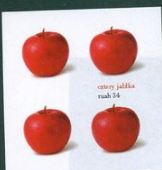
MADREDEUS
romantycy z Lizbony

MATE.O
nowa płyta, nowa muzyka



ISSN 1428-5983 INDEX 345385 NAKŁAD 4000 egz.

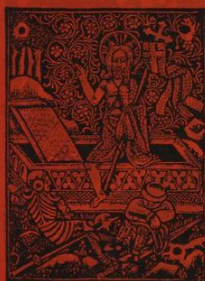




PRZEWODNIK PO CD

- 1. TIE BREAK** – Sprawiedliwość
sł. ks. Jan Twardowski, muz. Jorgos Skolias, Antoni Gralak
 - 2. ZIEMIA KANAAN** – Początku bez początku
sł. Mariusz Zarzeczny, muz. zespół
 - 3. CEZARY PACIOREK I DIAKONIA MUZYCZNA „JEZUS ŻYJE”** – Stacja I Drogi Krzyżowej
sł. Tomasz Pohl, muz. Cezary Paciorek
 - 4. RUT** – Grzech
sł. Szymon Chalimoniuk, muz. Szymon Chalimoniuk, Karol Wasilewski
 - 5. KATOLIKA FRONT** – Hej Ty, słuchaj
sł. Grzegorz Bociński, muz. zespół
 - 6. MONIKA DZIURLIKOWSKA**
– Pan Bóg przede mną
sł. i muz. Monika Dziurlikowska
 - 7. MARZENA GRZYMAŁA** – Jezu Chryste Panie miły
sł. Abraham Różniatowski (1610), muz. wg Siedleckiego
 - 8. SCHOLA DOMINIKAŃSKA z Krakowa**
– Duch Pański nade mną
sł. Pismo Święte, muz. Dawid Kusz
 - 9. SOLUS CUM DEO SOLO** – Przenikasz mnie
sł. Ps 189, muz. Łukasz Roszczyński i Anna Siedlecka
 - 10. MATE.0** – dobranocka dla...
sł. Beata Mencil, muz. Mateusz Otremba
 - 11. KORZEŃ Z KRAJU MELCHIZEDEKA** – Radikala
sł. Pismo Święte, muz. Marcin Baran SJ
 - 12. MIASTO** – Ciebie
sł. Marcin Muszyński, muz. Zespół
 - 13. PIOTR WOJTASIK I JUDY BADY**
– We Want to Give Thanks
sł. Billy Harper, muz. Piotr Wojtasik
- BONUSY**
- Magda Anioł** – Lolek, teledysk
sł. Adam Szewczyk, muz. tradycyjna
- Film o festiwalu GÓRA TABOR**

*Wstań, który śpisz i powstań
z martwych, a zajaśnieje ci Chrystus!*



Niech światło Wielkanocy
mocno oświeca
Wasze drogi i pomaga
spotykać się na nich ze
Zmartwychwstałym!
Czytelnikom RUaH
Wesołych Świąt życzy
Redakcja

- 5** Przewodnik po CD **CZTERY JABŁKA**
- 6** Newsy
- 8** 5 lat Piwnicy przy Dominikańskiej w Krakowie i Klubu Piosenki RUaH
- 10** „Nie chcę być turystą – sceptykiem” – z **PIOTREM WOJTASIEM**
rozmawia Andrzej Bujnowski OP
- 14** O debiutanckiej płycie z zespołem **HABARI NJEMA** rozmawia Ilona Pliszka
- 16** Nieskończona kopalnia fortepianów – o muzycznych opracowaniach poezji
KS. JANA TWARDOWSKIEGO pisze Katarzyna Cudzych
- 18** **O BRIANIE WELCH’U z KORNA** i innych nawróconych muzykach rockowych
– Paweł Gzyl
- 21** „Pieśń o nadziei” – udany debiut **DAWIDA KUSZA OP** – Beata Mencil
- 22** „Spowiedź ratuje nam życie” – z muzykami **KATOLIKA FRONT**
rozmawia Weronika Gurdek
- 33** o Matee Boskiej Różańcowej w Kórniku – Jacek Kowalski
- 34** Pieśń o niekończącej się miłości – z Pedro Ayresem Magalhesem,
rozmawia Marcin Zatyka
- 36** **HARLEM GOSPEL CHOIR** w Polsce – Marcin Woźniak
- 38** Przewodnik po płycie **RADIKALA** – z **DJ FABBSEM** rozmawia Weronika Gurdek
- 40** Jest czego słuchać – z **MARZENĄ GRZYMAŁĄ** rozmawia Patrycja Michońska-Dynek
- 42** „Idę” – z **MATE.0** rozmawia Marcin Jakimowicz
- 44** „Dusza się sama rysuje” – z rzeźbiarzem **JANEM MALIKIEM**
rozmawia Beata Mencil
- 46** Gdyby krzyż nie wzbudzał emocji – o muzycznej Drodze Krzyżowej z **CEZARYM
PACIORKIEM** rozmawia Andrzej Bujnowski OP
- 46** „Droga Krzyżowa” **MAŁYCH EGOISTÓW** – Wiesław Siekierski
- 48** **TUPAC AMARU SHAKUR** – o ostatnich chwilach życia rapera pisze Maciej Syka
- 50** Zespół **LUMEN** i „Psalmy Dawida” – Katarzyna Cudzych
- 51** Recenzje płyt – Marek Horodniczy, Grzegorz Wacław, Jan Trębacz
- 54** Archiwum 'Y: **RUT**
- 54** „Zapisknik” **ANTONINY KRZYSZTOŃ**



numer
34

WYDAWCA / REDAKCJA:
paganini

Małgorzata i Weronika Kotarba
31-135 Kraków, ul. Batorego 25/11,
tel./fax: 012-623 71 81, tel. 012-623 71 82
e-mail: firma@paganini.com.pl
RUaH w Internecie: www.ruah.pl www.paganini.com.pl
Druk: Drukarnia Euro Druk Kraków
Skład i łamanie: imago.media.pl, media@flyozone.pl
Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i opra-
cowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie bierze
odpowiedzialności za treść i formę reklam.
Na okładce: mate.0 (fot. Rafał Wieczorek)
Mastering: Studio Hańny
Okładka płyty CD: Marcin Jakimowicz

ZESPÓŁ:

Redaktor naczelny: Janusz Kotarba
Redaktor programowy: Andrzej Bujnowski OP
Opracowanie graficzne: Andrzej Bujnowski OP,
Grzegorz Gielert
Sekretariat redakcji: Weronika Gurdek
Weronika Kotarba

Korekta: Kinga Wenkler
Stali współpracownicy: Rafał Boniński, Jan Bujnowski, Iwona Flisikowska, Weronika Gurdek, Marek Horodniczy, Piotr Iwicki, Marcin Jakimowicz, Przemek Kawecki, Jacek Kowalski, Antonina Krzysztoń, Agnieszka Lech, Darek Malejonek, Beata Mencil, Patrycja Michońska-Dynek, Michał Nolywajka, Barbara Pycel, Krzysztof Raczyński, Maciej Syka, Adam Rymarz, Cezary Sękalski, Jan Trębacz, ks. Grzegorz Ułamek, Grzegorz Wacław, Jan Walczewski, Tomasz Wienke, Monika Zytke, Jakub Zmizdiński

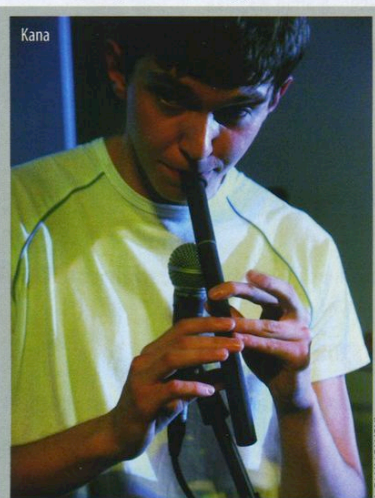
Jeszcze przed świętami Wielkiej Nocy ukaże się nowa płyta **Arki Noego** „Nie ma to tamto – Subito Santo”. Dwa lata zespół zbierał, komponował i oczywiście czekał, aż najmłodsze rodzeństwo „starej Arki” zacznie śpiewać. Nowe piosenki opowiadają o prawdziwej miłości („Mówię tak, bo kocham Cię”, „Telefon do mamy”), o przygodzie („Poszukiwacze skarbów”, „Nic pewnego”), o wdzięczności do naszych rodziców i dziadków za dar życia („Mama Królowa”, „Dobrze, że Ciebie Tato mam”). Nie zabraknie też piosenek o naszym największym świętym – Janie Pawle II, który zawsze inspirował i mobilizował Arkę Noego do pracy („Nie ma to tamto – Subito Santo”, „Znowu Cię spotykam”). W tworzeniu płyty kompozytor i autor większości piosenek Arki – Robert Friedrich, współpracował tym razem z pierwszym składem muzyków, który znamy z debiutanckiej płyty „A gu gu” (zdobywca 5 Fryderyków, prawie 900 tysięcy sprzedanych nośników!). Nad brzmieniem i aranżacją nowych piosenek wspólnie pracowali: Jozko Broda, Dariusz Malejonek, Marcin Pospieszalski, Maciej Starosta i inni. Niespodzianką jest udział w nagraniu piosenki „Mówię tak, bo kocham Cię” zespołu Maleo Reggae Rockers.



W.PIWNIK

jami zarejestrowanymi w trakcie niedawnej trasy koncertowej na 10-lecie zespołu. Płyta ukaże się przed wakacjami i swym dynamizmem bardzo zaskoczy nie tylko sympatyków muzyki uwielbieniowej w Polsce. W trakcie koncertów grupy w marcu i kwietniu można będzie nabyć wznowiony niedawno jej album z pieśniami wielkopostnymi pt. „Słońce nagle zgasło”.

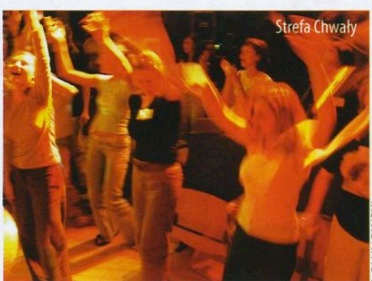
Tegoroczne, 15. już Spotkania Muzyków Chrześcijań **STREFA CHWAŁY** odbędą się w Gródku nad Dunajcem w dniach 13-18 lipca. Jak co roku, będą one miały charakter rekolleksji poświęconych modlitwie uwielbienia, wymianie aktualnych doświadczeń ewangelizacyjnych muzyków sceny chrześcijańskiej w Polsce, warsztatów komponowania i aranżowania pieśni i piosenek religijnych. Prowadzącymi Spotkania są duchowni, liderzy uwielbienia we wspólnotach charyzmatycznych oraz znani polscy muzycy jazzowi i rockowi, nie zabraknie też gości zza granicy. Szczegóły na temat STREFY na poświęconej jej nowej stronie internetowej – www.strefachwaly.pl, która rusza już w połowie marca br. Znajdą się tam m.in. informacje o historii zjawiska, zdjęcia, nagrania w wersji MP3, newsy, ciekawe linki i warunki zgłoszeń uczestników.



J. BUJNOWSKI

W maju planowana jest jedyna w swoim rodzaju trasa koncertowa dwóch zespołów: polskiego, grającego już od 14 lat, prekursora nowej muzyki religijnej w Polsce, **New Life 'M** i młodej, od niedawna tworzącej środowisko muzyków chrześcijańskich na Ukrainie grupy **Kana**. W dniach 4-14 maja muzycy **New Life 'M** poprowadzą warsztaty muzyczne w Krasilowie na Ukrainie, później zagrają koncerty w Winnicy, Kijowie i Iwano-Frankowsku. W dniach 20-27 maja oba zespoły wystąpią w Polsce. Organizatorem inicjatywy jest Andrzej Dubiel, manager NLM (mail: a.dubiel@bonart.pl).

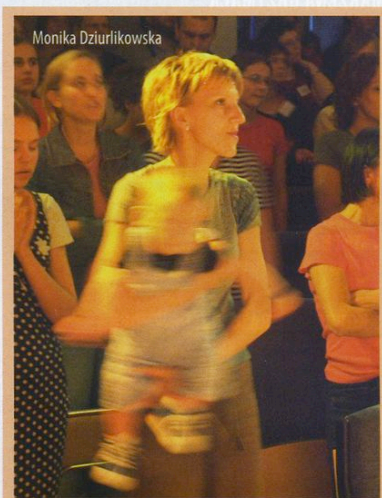
Ruszyła nowa oficjalna strona zespołu **Deus Meus** – www.deusmeus.pl. Na stronie aktualne informacje o zespole, jego historii, składzie, koncertach, także najnowsze fotki grupy. Już niebawem ściągnąć z niej będzie można specjalne tapety grupy z jej zdjęciami koncertowymi. Trwają intensywne prace nad nową płytą **Deus Meus**, z największymi jej przebo-



J. BUJNOWSKI

24 lutego, w parafii św. Teresy i św. Jana Bosko w Łodzi, tamtejszy **Teatr MMS** wystawił swą najnowszą premierę „Missa lehuda” w reżyserii Marcina Wąsowskiego. Przedstawienie jest opowieścią o apostoła, który zdradził Jezusa – Judaszu. Dlaczego to uczynił? Twórcy spektaklu stawiają to pytanie, na które brak według nich jednoznacznej odpowiedzi. „Missa” to poetycka opowieść zbudowana wielo-

plaszczynowo. Widz zostaje wprowadzony w metafizyczny świat doświadczeń apostoła poprzez plastykę ruchu, słowo, a także muzykę skomponowaną przez Sławomira Badowskiego na kanwie tradycji mszy koncertowych.



J. BUJNOWSKI

W Studio w Świętej Katarzynie pod Wrocławiem zakończyły się właśnie nagrania debiutanckiej płyty **Moniki Dziurlikowskiej** – **Wachowskiej** związanej z Toruńską Wspólnotą Modlitewno-Ewangelizacyjną Dom Zwięciństwa. Płyta wydana zostanie na przełomie maja i czerwca tego roku, a usłyszymy na niej głównie autorskie utwory młodej piosenkarki. Rozpoczynają ją kompozycje o charakterze popowym z elementami soulowo-jazzowymi, a kończą pieśni uwielbienia i modlitwa za Jerozolimę utrzymane w klimacie żydowskim. Krążek zapowiada się bardzo interesująco, chwilami posiada niezwykle kontemplacyjny charakter i poraża autentycznością modlitwy wykonawców. Na płycie oprócz Moniki występują: Mateusz Cudzych – bass, Kamil Cudzych – perkusja, Witek Góral – gitary, Damian Rypiński – piano, Beata Musiała i Jarek Moczulski – chórki, Stanisław Dziurlikowski – szofar. Na załączonej do bieżącego numeru RUaH płycie prezentujemy jeden z utworów wspomnianej sesji nagraniowej – „Pan Bóg przede mną”.



Ronan Johnston

J. BUJNOWSKI

Tegoroczny **Ekumeniczny Festiwal Song of Songs w Toruniu** odbędzie się w dniach 30 czerwca – 1 lipca. W murach staromiejskiej fosi wystąpi kilkanaście zespołów grających muzykę chrześcijańską. Wśród gości zoba-



Teatr Muzyczny w Gdyni

ARCHIWUM

czymy m.in. **Ronana Johnstona** – autora słynnej piosenki „Kocham, więc nie muszę się bac”, oraz jego żonę – Joanne. Oboje są liderami formacji **Emmaus**, działającej w Dublinie od dwudziestu już lat. Podczas Festiwalu zaprezentowany zostanie koncert „Muzyczne Dary”, który będzie swoistym podsumowaniem najpopularniejszej listy przebojów muzyki chrześcijańskiej w Polsce, animowanej przez Darka Ciszewskiego i Janusza Yaninę Iwańskiego. To oni poprowadzą ten koncert. Na dużej scenie świętować będzie swoje 10-lecie 2 Tm 2,3. Promować on będzie swój najnowszy, 6 lat oczekiwany album, na którym zespół powraca do ostrego i ciężkiego grania. Okazję do prezentacji swojej twórczości mieć będą też młode debiutujące zespoły. Rusza konkurs na Małą Scenę Song of Songs, o czym szczegółowiej przeczytać można na stronie www.songofsongs.pl.

Na początku kwietnia ukaze się singiel grupy **New Day**, z piosenką „Tacy sami jak my”, promujący jej nową płytę zatytułowaną „Piątka”. Poświęcona będzie w całości Poznańskiej Piątce Oratorianów, którzy zginęli śmiercią męczeńską w Dreźnie podczas II wojny światowej. „Będzie dużo o modlitwie, wdzięczności i nadziei, która towarzyszyła im do końca. To wszystko w znanym klimacie pełnym afrykańskich dźwięków” – mówi perkusista, Rafał Bonisniak. Na krążku usłyszymy nową wokalistkę zespołu, **Joannę Rybak**. Trasa koncertowa promująca płytę jest projektem, w ramach którego mieści się prezentacja piosenek z no-

wego albumu, ale też wzruszające fragmenty listów Oratorianów z więzienia oraz pokaz multimedialny związany bezpośrednio z „Piątką”. Rozpocznie się ona 2 kwietnia, a zakończy 1 grudnia br.

Błogosławieni, czyli szczęśliwi...

Koncert-spektakl „Błogosławieństwa” aktorów i studentów **Teatru Muzycznego w Gdyni** narodził się po odejściu Jana Pawła II. Charyzmatyczni **Renia Gosłowska** i **Rafał Ostrowski** pociągnęli za sobą całą paczkę przyjaciół z Teatru. Pierwotna wersja koncertu oparta o twórczość i nauczanie Karola Wojtyły przekształcała się w spektakl muzyczny. Artyści dołączyli do niego znane (i mniej znane) gospele w nowej, ciekawej aranżacji Reni, np. „I Believe, I can fly” czy „Happy day”. „*W czasie koncertów pragniemy zarazić*

sluchaczy radością, entuzjazmem i spontanicznością w wyrażaniu swojej wiary. Przecież gospel, to nie tylko muzyka, ale też sposób na poznanie siebie i otwarcie się na innych. Na początku robiliśmy koncert, nie myśląc o tym, gdzie i kiedy będziemy mogli go pokazywać, ale bardzo zależało nam na tym, aby po prostu dotrzeć do ludzi z Dobrą Nowiną. To dla nas radosne przesłanie, które jest świętowaniem naszej duszy... Ludzie uczestnicząc w naszym muzycznym spektaklu, śpiewają razem z nami. A po koncercie – taką mamy nadzieję – są bardziej otwarci na siebie i cały otaczający świat. Dla nas ważna jest również pasja wspólnego tworzenia, hycia razem, poczucia wspólnotowości” – opowiadają Renia i Rafał. W koncercie możemy również usłyszeć wiersze ks. Jana Twardowskiego i Romana Brandstaettera oraz „Osiem Błogosławieństw”, stanowiące swoistą osnowę całego spektaklu. Młodzi aktorzy pokażą swój spektakl 2 kwietnia 2006 r. o godz. 16.00 w kościele Świętej Trójcy w rocznicę odejścia Jana Pawła II do Domu Ojca. Patronat nad imprezą sprawują gdańscy Franciszkanie, Dom Pojednania im. Maksymiliana Kolbe oraz Nadbałtyckie Centrum Kultury w Gdańsku.

W sprzedaży pojawiła się ostatnio nowa płyta jazzowego pianisty z Bielsko-Białej **Janusza Kohuta**, zatytułowana „Wysokie góry”, z instrumentalnymi wersjami oratoriów artysty – „Droga Nadziei”, „Gość oczekiwany” i „Święty Piotr”. Na krążku znajdziemy też kilka zna-

nych pieśni religijnych, jak „Jezus, Najwyższe Imię” czy „Barka”. Płyta posiada akcenty kontemplacyjne, jest zarazem wyborem tych fragmentów dorobku autora, które zawierają najwięcej treści i ładunku emocjonalnego.

Zespół **Misterium Verbi** zakończył nagrania muzyki na maxisingiel „w nawiasach”. Na krążku znajdują się cztery premierowe utwory oraz mocno odświeżona wersja utworu „Życie to chwila”. Album trafi do sklepów na przełomie marca i kwietnia. **Misterium Verbi** (Tajemnica Słów) będzie można wkrótce zobaczyć na scenie. www.misteriumverbi.kdm.pl.

Na początku kwietnia na półki sklepów muzycznych trafi nowa płyta **Mate.O** „Zapominam siebie”. Jej producentem jest Paweł „Bzim” Zarecki (nagrodzony Fryderykiem za „produkcję” płyt m.in. Anny Marii Jopek). Poza stałym składem zespołu (Irek Glyk – bębny, wibrafon; Tomek Lipert – gitara; Robert Szydło – bas; Paweł Zarecki – klawisze) na płycie usłyszymy głos Mietka Szcześniaka, Małgorzatę Komorowską grającą na harfie i Piotra Wojtasika – na trąbce. Na nowej stronie zespołu www.mate-o.pl można zobaczyć krótkie filmiki pokazujące kulisy prac nad materiałem. Ostatnio Wydawnictwo GIFT wznowiło produkcję poprzednich płyt **Mate.O** – „Totalne uwielbienie”, „Jesteś dobry dla mnie” oraz „Piosenki młodych wojowników”. W kwietniu rozpocznie się duża trasa koncertowa promująca nowe piosenki Mateusza Otremy.



Rhema

ARCHIWUM

Dobiegła do końca produkcja pierwszego debiutanckiego krążka zespołu **Rhema** z Kielc. Nosi on tytuł „Osiem” i jest podsumowaniem całej jego działalności. Osiem lat to zarazem krótki i długi okres. Zespół przeszedł przez wiele doświadczeń, jednak pozostała pasja, którą pragnie się z nami podzielić. Muzyka zespołu Rhema to wypadkowa różnych gatunków, od ciężkiego hardcore’a począwszy, poprzez dynamiczne rockowe utwory, do rapu włącznie. Krążek zawiera 12 utworów plus teledysk i wywiad z zespołem. Zespół zaprasza na swą stronę www.rhema.art.pl.

W tym roku zespół **Saruel Music** obchodzi swoje dziesięciolecie. Planowane jest wydanie książki pt. „Saruel – Młodzi, Muzyka, Misja” autorstwa ks. Cezariusza Cieszyńskiego, w której znajdują się refleksje o Saruelu oraz świadectwa członków zespołu. Ostatnio pojawiła się płyta „Błogosławie Cię” z największymi przebojami grupy z tych lat, która będzie sprzedawana wraz z książką.

5 LAT

PIWNICY PRZY DOMINIKAŃSKIEJ w KRAKOWIE i KLUBU PIOSENKI RUaH

Piwnica przy Dominikańskiej w tym roku obchodzi swoje 5-lecie. Skąd pomysł na powstanie takiego miejsca?

Ks. Andrzej Król: Pomysł Piwnicy to próba odpowiedzi na znaki czasu. Salezjanie na przestrzeni lat szukali i wciąż szukają sposobów, by oddziaływać na ludzi młodych poprzez edukację, kulturę, sztukę. Młodzież dziś stawia coraz większe wymagania i oczekuje również nowych propozycji od tych, którzy mają ich kształtować. Kultura chrześcijańska powinna być dziś promowana, a myśl, że jest takie miejsce jak Piwnica z pewnością temu sprzyja. Wierzę, że to, co ważne w naszym życiu dokonuje się często jakby przypadkowo i tak chyba było z początkami Piwnicy. Teraz to tylko konsekwencja początkowego ryzyka i wielu lat żmudnej codzienności.

Wśród osób odpowiedzialnych jest ksiądz Andrzej Król, salezjanin i Dominik Chobot. Łatwe jest zorganizowanie takiego przedsięwzięcia?

Ks. Andrzej: Trudne! Przecieraliśmy przecież szlaki, budząc kontrowersje wśród duchownych i świeckich - nawet najbliższych. Na przestrzeni tych pięciu lat borykaliśmy się z różnymi problemami formalnymi i nie tylko.

Ksiądz jest salezjaninem, a Zakonowi temu jest bliska troska o młodzież. Czy takie miejsce może być pewną alternatywą dla młodego pokolenia?

Ks. Andrzej: Obecność Salezjanów w miejscach, w których jest młodzież to nic innego jak realizacja systemu prewencyjnego i myśli założyciela św. Jana Bosko. Skoro młodzież lubi przebywać w kawiarniach, pubach czy wprost uprawia clubbing, to dlaczego nie ma trafić do miejsc, które „tchną” nieco innym duchem. Dzisiaj to bardziej Kościół (duchowni) powinni „szukać” młodych, a nie na odwrót.

Idea jest piękna, ale czy nie przypuszczaliście, że może to nie wypalić? Przecież dziś młodzi ludzie lubią się dobrze zabiwić przy głośnej i ekspresyjnej muzyce. W Krakowie jest wiele takich miejsc.

**Z ks. Andrzejem Królem, salezjaninem i z Dominikiem Chobotem rozmawia
Andrzej Sikorski
z SIECI M**

Ks. Andrzej: W nasze życie wpisane jest ryzyko i tylko tym, których za życia się krytykuje, po śmierci stawia się pomniki. Znów odwołam się do św. Jana Bosko, który potrafił np. w jednym roku zamknąć kilka szkół czy ośrodków młodzieżowych i tyleż samo otworzyć w miejscach, w których było większe zapotrzebowanie. Dziś jest Piwnica, są stowarzyszenia, które poprzez sport, rekreację, żeglarstwo, wspinaczkę skałkową chcą być jak najbliższej ludzi młodych czy też po prostu z nimi wzrastać, a jutro pojawią się inne formy. I zawsze w te przedsięwzięcia będzie wpisane ryzyko tego, że coś może być pomysłem nie trafionym. W Krakowie owszem jest wiele miejsc, gdzie młodzież może spędzić miło czas i posłuchać innej muzyki, ale jak widać zapotrzebowanie na muzykę chrześcijańską jest bardzo duże - tym bardziej w Krakowie.

Czym się różni Piwnica przy Dominikańskiej od innych klubów, pubów?

Ks. Andrzej: Chyba tym, że tu się nie pali, że słucha się muzyki chrześcijańskiej, że spotyka się ludzi Kościoła, którzy też czasem mają ochotę wypić piwo, zjeść pizzę, że jest to „coś” trudne do nazwania, a jednak obecne.

Od kilku lat zaczęliście zapraszać różne zespoły muzyczne, aby grały koncerty. Kto wpadł na taki pomysł?

Ks. Andrzej: Pomysł koncertów jak i, szeroko myśląc, krzewienia kultury chrześcijańskiej zrodził się, a może raczej jest obecny w wychowaniu salezjańskim. Pierwszym i najważniejszym celem Piwnicy jest przekazywanie i wychowywanie do wartości. Jeśli na-

wet nie poprzez muzykę, spotkanie z drugim człowiekiem, to poprzez prowokację do myślenia: „po co oni to robią?” Prowokują media - dlaczego nie my!

Opatrznościowo chyba w tym czasie Janusz Kotarba szukał miejsca, gdzie muzycy związani z klubem RUaH mogliby systematycznie występować. I tak to się zaczęło. Janusz Kotarba był bardzo wielkim charyzmatykiem i dobrym organizatorem. Czego nauczyliście się od niego?

Dominik: Spokoju ducha i konsekwencji w tym, co się robi.

Czy dziś czujecie jego obecność w Piwnicy?

Dominik: Zdecydowanie tak. Nad sceną w centralnym miejscu wisi portret Janusza oraz informacja, że to dzięki niemu te koncerty trwają nadal. Przed śmiercią, życzeniem Janusza było, aby te koncerty trwały nadal, więc myślę, że On w każdy piątek, uśmiechnięty i szczęśliwy „przychodzi” do Piwnicy, siada cicho w kącie i nuci razem z nami różne piosenki.

Kto zagrał pierwszy w Piwnicy?

Dominik: Jeszcze zanim rozpoczęła się współpraca z RUaH, wystąpili u nas Tomek Kamiński oraz Bartek Jaskot, lecz to były jednorazowe epizody. Myślę, że jako pierwsi muzycy związani właśnie ze sceną chrześcijańską zaczęli występować u nas: Magda Anioł, Adam Rymarz i Paweł Orkisz.

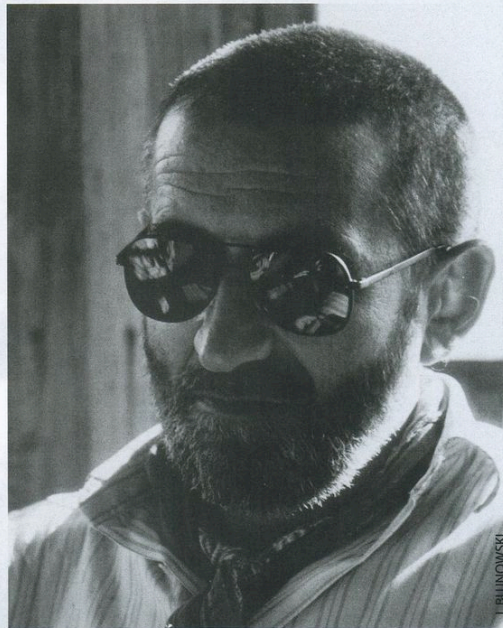
Nie baliście się, że przyjdzie mało ludzi, że coś może się nie powieść?

Dominik: Oczywiście, że takie obawy były.



trzecia rocznica odejścia do Pana
Janusza Kotarby
(1950 – 2003)
redaktora naczelnego
Magazynu Muzycznego RUaH
animatora środowiska muzyków chrześcijan

5 marca modliliśmy się
w Bazylice oo. Paulinów na krakowskiej Skałce
w intencji Was wszystkich,
którzy wspieracie modlitwą RUaH,
dziękując Bogu za opiekę na dziełem,
które tu na ziemi pozostawił Janusz



Piwnica jest miejscem publicznym i ogólnodostępnym, więc często się zdarza, że na koncerty trafiają często osoby zupełnie przypadkowe, które po prostu przyszły zjeść pizzę, czy napić się czegoś. Nie ma natomiast oddzielnej sali, która byłaby wyłącznie przeznaczona na koncerty, więc baliśmy się trochę, jak artyści śpiewający o Bogu zostaną przyjęci w tak nietypowych warunkach. Wszelkie wątpliwości jednak szybko minęły, gdyż fama szybko się rozeszła i na koncertach zaczęła panować kapitalna atmosfera, a Piwnica często pękała w szwach od ilości ludzi.

Za wami chyba setka koncertów różnych wykonawców. Jakie zespoły gościły w Piwnicy?

Dominik: W tym miejscu mogłaby powstać długa lista, bo przez te wszystkie lata przewinęło się u nas sporo wykonawców. Ja tylko wymienię kilka nazwisk, m.in. Tomek Kamiński, Jacek Dewódzki, Magda Anioł, Viola Brzezińska, New Day, Bartek Jaskot, Tomek Żółtko, s. Anna Balchan, zespoły - Fruhstuck, Leaf, 30i40/70, Sega Band, Bez Końca, Remont Duszy i wielu innych.

Takie miejsce przy Dominikańskiej to świetna „oaza” do refleksji i spokoju. Czy muzyka chrześcijańska może dziś tak wpływać na młodego człowieka?

Ks. Andrzej: Każdy rodzaj muzyki wpływa na człowieka; a jeśli jest to dobra muzyka, dodatkowo w oparciu o fragment biblijny czy „niebanalny” tekst, zawsze będzie to kształcąca. A młodzi – przecież oni potrzebują i lubią słyszeć dobre teksty i dobrą muzykę.

Ale Piwnica to nie tylko muzyka. To również różne wystawy. Która wystawa była najbardziej ciekawa i dlaczego?

Dominik: Tak. Równocześnie z koncertami nastawialiśmy się na organizowanie wystaw fotografii, grafiki czy malarstwa. Chcieliśmy stworzyć młodym artystom, którzy często tworzą naprawdę ciekawe i wartościowe prace, możliwość pokazania ich przed ludźmi. Trudno wybrać najciekawszą wystawę, gdyż każde zdjęcie czy obraz wnoszą coś nowego do Piwnicy; mieliśmy np. wystawę rzeźb stworzonych przez ludzi osadzonych w więzieniu w Krakowie i Trzebinii.

Przy muzyce można posiedzieć wraz ze znajomymi i przyjaciółmi. Ale można też zjeść bardzo dobrą szarlotkę z bitą śmietaną, napić się kulturalnie piwa, a nawet zamówić pizzę. Były takie momenty w waszej działalności, kiedy było tak dużo ludzi, że trudno było ich pomieścić. Muzyka, wystawy... A może warto by było pomyśleć nad spotkaniami z autorami ciekawych książek?

Ks. Andrzej: Piwnica gościła i zapewne będzie gościć ludzi, którzy mają coś do przekazania. Byli już autorzy książek, podróżnicy czy ludzie nauki. Są to spotkania okazjonalne, może mało o nich się mówi – jednak są.

Dominik: Mieliśmy na przykład żywą dyskusję na temat ekumenizmu. Myślę, że jeszcze wiele przed nami. Czasem też zdarza się, że wystawy połączone są z pokazami slajdów i prelekcjami. Tak było w przypadku zdjęć z Kaukazu czy Mongolii.

Jak to się dzieje, że wiele różnych firm prowadzących podobne interesy upada, pomimo że są komercyjne, a wy tak prężnie się rozwijacie, cały czas będąc mało komercyjni?

Ks. Andrzej: Czy prężnie! Myśmy też przez te pięć lat kilkakrotnie upadali, ale widać Opatrzność zatroszczyła się, żeby było inaczej - „Pieniądze to nie wszystko”.

Pięć lat działalności Piwnicy to mały jubileusz. Co było najważniejszym wydarzeniem w ciągu tego czasu?

Na pewno nie ilość sprzedanych pizz, wypitej kawy czy herbaty, ale klimat, ludzie.

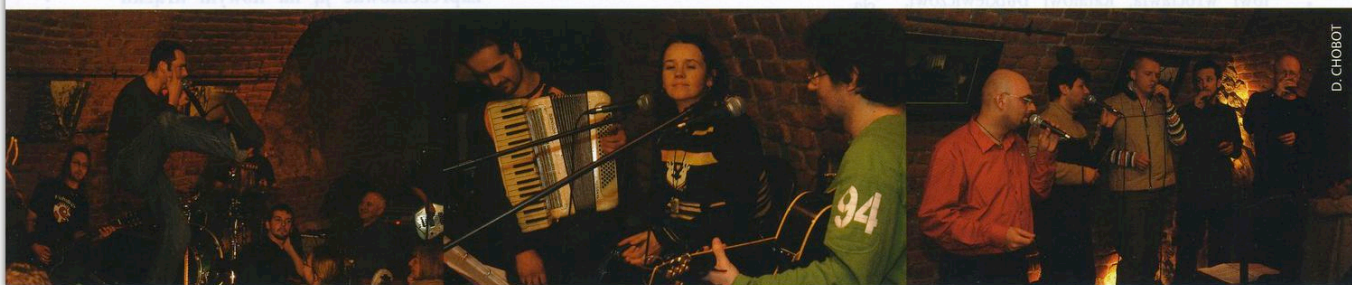
Jakie macie plany na najbliższy czas. Niedługo będziemy obchodzili rocznicę śmierci Jana Pawła II. W tym czasie w Krakowie będzie sporo ludzi. Czy planujecie coś specjalnego?


Ks. Andrzej: Tak, ale niech to będzie na razie tajemnicą.

Na koniec tak trochę prywatnie. Czy w waszym życiu muzyka chrześcijańska, która jest promowana w Piwnicy odegrała dużą rolę? Jeżeli tak, to co zmieniła?

Ks. Andrzej: Muzyka chrześcijańska mnie wychowała – chyba śmiało mogę tak powiedzieć. Od czasów szkoły średniej poprzez seminarium, tak i teraz będąc księdzem gram, śpiewam i staram się, żeby też wychowywać poprzez muzykę. I mam nadzieję, że tak się dzieje. Zresztą, młodzi, którzy są czy to tutaj w Piwnicy, czy na obozach żeglarskich, czy w Saltromie utożsamiają mnie z muzyką. ■

Andrzej Sikorski





nie chcę być turystą - sceptykiem

z trębaczem jazzowym,
Piotrem Wojtasikiem, rozmawia o. Andrzej Bujnowski OP

Piotrze, trzymam w ręku twoją nową płytę „We Want to Give Thanks”. Dziś właśnie się ukazała, a już docierają do mnie głosy, że będzie to duże wydarzenie muzyczne. Powiedz może kilka słów na jej temat.

Nagranie jej było możliwe dzięki Prezydentowi Wrocławia, Rafałowi Dutkiewiczowi, który włączył ją w serię wydawnicza „1000 lat muzyki Wrocławia”. Seria ta dotyczy głównie muzyki dawnej, ale w pewnej swej części także współczesnego jazzu. Pierwszym wykonawcą jazzowym, którego w niej zaprezentowa-

wano, był Piotr Baron. Jego płyta „Reference” pojawiła się 2 lata temu.

Wśród muzyków, oprócz ciebie, widzę na płycie same amerykańskie twarze i nazwiska...

Nie był to żaden cel. Po prostu tam mieszkają muzycy będący dla mnie największą inspiracją.

Gdzie nagrywałeś płytę?

W Nowym Jorku, w Brooklynie.

Płyta jest kompozycyjnie w całości twoim dziełem.

Tak, a pod wieloma względami jest przełomem lub może podsumowaniem wcześniejszych moich wysiłków. Jest to pierwszy album wypełniony moimi utworami i pierwsza moja płyta nagrana za granicą.

Znaleźć można na niej też piosenkę „We Want to Give Thanks”. Postanowiliśmy zaprezentować ją na nowym krążku RUaH...

Tekst tej piosenki jest typowo gospelowy. Nie ma on „kontekstu religijnego” ani metaforycznego, jest dosłowny. Po tym, jak spotkałem Judy, chciałem bardzo, by została na płycie



trochę siebie. Ta natchniona dziewczyna ma w sobie tyle słońca i daje wszystkim taką miłość, że zaproponowałem jej, by po prostu przyszła i zaśpiewała... Ten jeden utwór napisałem na spółkę z Billym. Określiłem formę, to co ma grać zespół, napisałem tzw. ostinato (czyli linię basu i partię sekcji rytmicznej) i miałem zarys melodii głównej, nie miałem tylko słów piosenki. Billy powiedział, że mogą być one bardzo proste i że może je napisać, byleby tylko powiedział, o czym to ma być. Opowiedziałem, i tak powstała piosenka.

Jak w ogóle poznałeś saksofonistę Billy'ego Harpera?

Jestem z nim w kontakcie od ponad 10 lat. Zagościł w moim sercu i umyśle przede wszystkim wtedy, gdy zobaczyłem go i usłyszałem po raz pierwszy w telewizji w 1981 roku. Występował na Jazz Jamboree. Kilkanaście lat

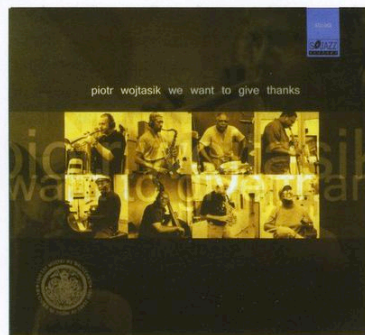
później zaproponowano mi nagranie w międzynarodowym składzie, był w nim Billy Harper, mój pierwszy mistrz. Nagraliśmy płytę „Quest”. Od tamtego dnia do dziś jesteśmy w ciągłym kontakcie i ze wszystkich wielkich muzyków to jedyny, o którym mogę powiedzieć, że jest moim przyjacielem. Po wielu koncertach trasy promującej wspomnianą płytę stałem się okazjonalnym członkiem kwintetu Billy'ego (w pierwszym jego składzie grał na trąbce Eddie Henderson).

Grywasz na różnych scenach, dużo podróżujesz, jesteś wykładowcą Katowickiej i Wrocławskiej Szkoły Jazzowej. Jak znajdujesz czas na komponowanie?

Komponowanie nie jest odrębną częścią mojej pracy. Poza tym w jazzie kompozycja jest zupełnie inną dziedziną niż w klasyce. W Stanach na przykład kompozytorów (ludzi piszących „tematy”) nazywa się „song writers”. Jest tam, jak widać, wyraźny podział na klasycznie rozumianą kompozycję i komponowanie tematów. Ja kompozycję w jazzie rozumiem bardziej jako wykonanie utworu niż napisanie go, stąd już dobór muzyków czy forma stanowi „część kompozycji”. To, co my piszemy w Polsce – to raczej „tematy”, choć oba wspomniane tu elementy uzupełniają się. W przypadku płyty „We Want to Give Thanks” wszystkie tematy są mojego autorstwa, jakkolwiek główne znaczenie miała praca koncepcyjna. Znamienne jest, że choć występują tu same gwiazdy, jedyną osobą, którą poznałem na miejscu był kontrabasista Reggie Workman. Grywał on z samym Coltrane i jest postacią wręcz ikoniczną. Jest przyjacielem Billy'ego i był obecny na jego pierwszej płycie, nagranej w końcu lat 60. „Capra Black”.

W ostatnich latach, jak widzę, komunikacja między muzykami z Polski i Stanów bardzo się ożywiła...

Jeśli chodzi o jazz, czy ten kontakt jest, czy



nie, decyduje sama muzyka, rodzaj jej odczuwania i wrażliwości. Poza tym cała warstwa emocjonalna (feeling), no i aspekt duchowy.

No właśnie, muzyka daje od razu ten duchowy kontakt...

Ta duchowość jest czytelna, jeśli występuje w człowieku. Czasem myślę: jak głębokim

i wszechstronnym kodem jest muzyka! Nie raz między ludźmi władającymi tym samym językiem bardzo trudne jest sformułowanie głębokich przeżyć duchowych w sensie werbalnym, a możliwe jest to dopiero przez dźwięki. One sięgają poziomu duszy ludzkiej, który znajduje się poniżej ludzkiego ego. Naturalnie, jeśli muzyk jest na tyle otwarty, że jest w stanie „ogolocić” sam siebie z wszystkich pseudokulturowych konwenansów, kompleksów, ambicji i innych podobnych naleciałości, wtedy jest całkiem „nagi” i w pewnym sensie przemawia jego dusza. Człowiek całkowicie poddaje się, zapomina o sobie. Porzuca, na ile to możliwe, całą swoją psychę i wszystko, co przeszkadza mu być takim, jakim go Pan Bóg stworzył.

Co muzycy amerykańscy sądzą o Polsce i polskich muzykach?

Myślę, że dobrze czują się tu, gdy przyjeżdżają. Billy twierdzi, że w Polsce ludzie mają szczególny rodzaj percepcji i duchowości, której nie przeżył nigdzie indziej w Europie, a którą mógł znaleźć tylko w Indiach, czy gdzieś tam... nie pamiętam. Ja nie mam do tego dystansu, bo mieszkam tutaj i jestem Polakiem. Uważa, i mówi o tym językiem trochę niecodziennym, że ludzie w Polsce „poznali pewną tajemnicę” (śmiejch)... Mówi to zresztą wielu innych muzyków.

Chyba każdy muzyk nosi gdzieś w sercu wiarę, tylko jedni ją bardziej przeżywają i eksponują, inni mniej. U niektórych trwa ona w pewnym uśpieniu, można też nie być jej do końca świadomym. To także swoista sztuka – być człowiekiem wierzącym i zarazem być tego świadomym...

To prawda, świadomość i intuicja, to dwie różne rzeczy. Nie wiem, czy można generalnie powiedzieć, że muzycy to bardzo religijni ludzie...? Choć, wydaje mi się, poszukują oni jakiejś głębszej strony życia.

I są otwarci na różne duchowości...

Tak jest. Tu chodzi często o formy... Z tego, co widzę, wszyscy oni coś robią, pracują nad sobą. Znaczna ich część to chrześcijanie. Jest jeszcze pewien odłam, którego do końca nie rozumiem, a który mówi, że wszystkie religie są święte. Należał do niego chyba Dizzy Gillespie. Od lat 40. minionego stulecia wielu sięgało po narkotyki, co też chyba było przejawem jakiejś tęsknoty do duchowości. Niestety, to było dla nich zabójcze i ta „głębia” okazywała się bardzo płytka.

To myślenie, że każda religia jest dobra, byleby prowadziła do duchowości, jest obecne w New Age. My, chrześcijanie, twierdzimy, że prawda jest tylko jedna i jest obecna w Jezusie Chrystusie.

Ja, tak naprawdę, jestem z jednej strony chrześcijaninem – od zawsze, z drugiej, chrześcijaninem bardziej świadomym – od 2-



3 lat. Miałem pewne przeżycie w Jerozolimie. Byłem tam trzykrotnie i ostatnim razem z powodów ekonomicznych mój przelot do Polski został przełożony o dwa dni. Tym razem byłem w Izraelu sam, grałem nie z Polakami, ale z tamtejszymi muzykami. Skończyły się moje zajęcia, do wylotu pozostało dwa dni, przydzielono mi miłego towarzysza - przewodnika, pracownika ambasady. Dysponowałem samochodem i postanowiłem się mną zająć. Wyciągnąłem mapę Izraela i zapytałem, co chcę zobaczyć. Powiedziałem - Galileę. I pojechaliśmy tam. Pierwszym punktem podróży było Kafarnaum. (Na najnowszej płycie jest nawet utwór mający wyraźny kontekst religijny, „Journey to Kafarnahum” - przyp. red.). Tam mieszkał święty Piotr, a przez jakiś czas - Pan Jezus. W tamtym dniu zobaczyłem również miejsce rozmnożenia chleba i wiele innych. Bardzo to wszystko przeżyłem, ale prawdziwe przeżycie przyszło dopiero w nocy. Gdy wróciłem do hotelu w Tel-Awiiwie, znalazłem w pokoju Biblię. Postanowiłem przeczytać z niej jedną z Ewangelii, ciesząc się, że będę miał przed oczami geograficzny wizerunek tych miejsc, o których tam jest mowa. Czytałem ją i czytałem, nie pierwszy raz w moim życiu, ale pierwszy raz - świadomie. Poczuć zadolenia przerodziło się szybko w poczu-

cie niepokoju, bo uzmysłowilem sobie, że ta Ewangelia to dla mnie - przewodnik. I że w pewnym sensie, zadaję sobie te same pytania, które zadawano Jezusowi, a nie te, które były Jego odpowiedziami. Strasznie się tego przeraziłem...

Jak to rozumieć...?

Gdy wcześniej czytałem Ewangelię, gdzieś w głębi pytania Żydów czy faryzeuszów wydawały mi się jakieś takie banalne, naiwne, i dziwiłem się, dlaczego oni nie mogą zrozumieć pewnych rzeczy, przecież Jezus tak prosto i jasno odpowiada. Po tej podróży, w której poczułem, że trzymam w ręku przewodnik turystyczny, a nie Biblię, przyszło mi do głowy, że oprócz tego, że jestem w pewnym stopniu takim „negatywnym turystą - sceptykiem”, bliżej mi do tych, co Go pytali, niż do Niego samego. I odebrałem to jako straszny ból i porażkę, taką, w której przez ileś tam lat... jakiś czas, kiedy nic we mnie nie było. Na drugi dzień pojechałem do Jerozolimy. To również było niesamowite. Znalazłem się tam sam, bez kolegów. Uprzymiłem sobie, że przy okazji poprzednich wizyt byłem bardziej zajęty sobą i nimi, niż tym, co się dzieje wokół. To był moment w życiu, kiedy po raz pierwszy tak naprawdę się poddałem i jedno, o co

prosiłem Boga, to - by nie być więcej turystą. Uświadomiłem sobie, że sam nie jestem w stanie nic zrobić, bo moje uczucia i myśli bez przerwy mi uciekają i gdy do czegoś dojdę, to właściwie jestem dalej od tego, gdzie chciałbym być, bo myślę znowu o tym, co ja myślę i to tworzyło taki obłęd, od którego chciałem, by ktoś mnie uwolnił. Później opuściłem starą Jerozolimę i poszedłem w kierunku gaju oliwnego, tam, gdzie Pan Jezus się modlił. W Gethsemani, w gaju oliwnym, jest Bazylika Wszystkich Narodów. Wszedłem do kościoła, byłem cały roztrzęsiony. Myślałem, że tam jest msza święta. Nikt nic nie mówił, wszyscy się modlili, klęczali razem z nimi i czekałem aż to się skończy, bo chciałem jeszcze iść zobaczyć grób Pana Jezusa. Czulem, że to jest strasznie ważne. Byłem taki szczęśliwy, że tam mnie przywiodło, a z drugiej strony denerwowałem się, że muszę jeszcze zdążyć do grobu... Tymczasem to się nie chciało skończyć. Było tam mało ludzi, jakieś siostry, jacyś księża, kilku mnichów, jakieś osoby świeckie. Niektórzy leżeli na ziemi, inni klęczeli lub siedzieli. W pewnym momencie wszyscy powstali i nadszedł moment, w którym mogłem wyjść (wcześniej nie robiłem tego, by nikogo nie urazić)... Wtedy zrozumiałem, co się tam właściwie dzieje. To była adoracja Najświęt-

szego Sakramentu. Uświadomiłem sobie, że znów jestem turystą, bo nie muszę przecież biec do Pana Jezusa na Jego grób, tu właśnie jestem tuż przy Nim. To był moment, ten dzień, w którym dostalem potężną lekcję.

Dotknęło cię światło...

Tak. Iluminacja... Pamiętam to cały czas i nawet teraz tym żyję, ale co najważniejsze – dotarło do mnie, że nie powinienem sobie nigdy nic wyobrazać. Każdy to przyjmuje inaczej i wielu ludzi dużo mówi, albo zajmuje się nawracaniem innych... Wiem, że Bóg ma swój plan dla każdego i On sobie z każdym poradzi. I z tymi, co gadają i z tymi, co milczą. Później wróciłem i zdarzyło się tyle rzeczy, w ciągu dosłownie kilku tygodni. Na przykład koncert z Piotrem Baronem, trzy tygodnie później. Gram już 20 lat i nigdy nie było czegoś takiego, by wyjazd do Rzymu pojawił się tak znienacka. Takie koncerty są przygotowywane przez parę miesięcy. Choćby to, że teraz rozmawiam z ojcem. Nigdy w życiu nie rozmawiałem z księdzem, chyba że przyszedł po koledziej... Tak było przez 40 lat mego życia. Od powrotu z Jerozolimy nic nie zrobiłem w tym kierunku dalej, oprócz tego, że zacząłem chodzić do kościoła i modlić się, przestałem używać brzydkich słów. I myśleć o TYM, że TO jest! Oto moje świadectwo. Zmieniam wszystko, co mogę. Jeśli zaś chodzi o muzyków... Billy Harper jest baptystą, ja katolikiem. Wierzę, że Bóg ma swój plan dla każdego. Jeśli urodziłem się tutaj, to też po coś to jest... A najbardziej pomagają mi to zrozumieć słowa Thomasa Mertona, którego jestem wielkim fanem. Twierdził on, że Duch Święty do każdego z nas nieustannie mówi, i jedyny problem w tym, że On mówi baaardzo cichutko (śmiech)... Moja droga polega bardziej na nieustannym zwracaniu niż jechaniu do przodu.

Czy to, co wydarzyło się w Jerozolimie, ma jakieś przełożenie na twoją grę na trąbce, albo inaczej – czy grając jazz, można naprawdę modlić się muzyką?

Oczywiście, że tak. Mało tego, jazz to dzisiaj jedna z niewielu dziedzin sztuki całkowicie improwizowana, a więc ona sięga jakby głębszych pokładów świadomości ludzkiej, niż te, w których w akcie twórczym używa się umysłu. Po drugie, są trzy poziomy, jeśli chodzi zarówno o granie muzyki, jak i jej odbiór. Pierwszy to taki, który w Ameryce określa się jako „entertainment” – czyli show, przedstawienie. Tutaj wszystko koncentruje się na technice, solówkach itp. On jest OK, bo nie wszyscy ludzie mają głęboką duchowość, by przeżywać muzykę, albo może nie nadszedł jeszcze ich czas. Drugi poziom, głębszy – to ten, w którym duch zajmuje istotniejszą rolę. Językiem nadal jest tu muzyka, każdy trzyma swój instrument i im lepiej na nim gra, tym mniej ma ograniczeń w przekazaniu tej drugiej sfery. To wymaga od muzyków pewnego rodzaju poddania się, to jest jak spowiedź.

Jeżeli ktoś zasłania się tym niższym poziomem, czyli tym, czego się nauczył, nie dotrze do serc słuchaczy, bo oni wiedzą najlepiej. Oni nie posługują się rozumem, bo słuchacz, choćby nie wiem jak wyrobiony, nie będzie do końca rozumiał muzyki jak sam muzyk. Ale on nie ma jej rozumieć, on ma ją przeżyć w tym znaczeniu, o jakim mówię. I trzeci poziom, to jest mistyczny, na który może wejść tylko parę osób na świecie. Spotkanie z nimi i przeżycie ich koncertu, to przeżycie niemal mistyczne, religijne. Do niego trzeba być bardziej przygotowanym. Człowiek, który słucha tylko dźwięków, albo wyjdzie z koncertu, albo będzie długo myślał... Duchowość nigdy nie jest celem w muzyce, to jest cel życia, a nie grania. Muzyka obnaża wnętrze, to co kto ma pod spodem. Jeśli ma w sobie miłość i radość, to wychodzi to w jego grze i będzie zawsze miało działanie oczyszczające. Mówi się o tym nieraz – „wyższy stan ducha”. Jeśli najwięksi ludzie mają w sobie tyle światła i miłości – przenoszą je na innych przez muzykę. Nawet jeśli ktoś się broni przed nią, ona i tak go oswładnia i wyjdzie z koncertu lepszy niż przyszedł. Natomiast jeśli muzykom siedzi coś „pod paznokciami”, ich muzyka też potrafi być trochę... dołująca (śmiech).

Rozmawiasz z kolegami muzykami o wierze?

Wśród znanych mi ludzi nie ma takich, którzy wierzyliby w Boga i wstydziłiby się o tym mówić. Są tacy, w których wiara się przebudziła i mówią o tym, kiedy tylko mają potrzebę. Albo są inni, u których jeszcze to nie nastąpiło, oni się bardziej temu przyglądają. Nie spotkałem nigdy takich, którzy by krytykowali.

To niezwykle zjawisko w Polsce w ostatnich latach, że muzycy mają większą

świadomość swej wiary, niż za czasów komuny. Jeśli przeżywają coś religijnego w swym sercu, wiedzą, że nie muszą tego ukrywać...

Wynika to może stąd, że w ogóle w wielu ludziach to przebudzenie teraz nastąpiło. W latach 70., o ile pamiętam, wszyscy byli tak pijani, że mogli nie odnotować tego faktu (śmiech). Poza tym teraz, bardziej niż w tamtych latach, można mówić, co się myśli.

Kiedyś się ludzie bali, była cenzura i mocna autocenzura...

To wszystko razem dawało taki, a nie inny nastrój, ale w Polsce nadal jest nietolerancja.

Wkroczyliśmy w rzeczywistość postkomunistyczną i ten etap będzie jeszcze trochę trwał. Teraz często uważa się, że na skutek tej szerokiej wolności niektórym nagle coś odbiło i stali się zbyt religijni. Myślę, że jeśli ktoś jest autentycznie wierzący, nie musi się wstydzić mówienia o swojej wierze, niezależnie od aktualnej sytuacji politycznej czy społecznej.

W muzyce kręci prawda i w życiu – też. Jeśli ktoś podaje się za zbyt religijnego, to jest to słabe. I nikt nie będzie poświęcał temu czasu, bo jeśli w tym nie ma prawdy, to nie ma również siły oddziaływania... O wiele lepiej jest, jeśli opowie o swoich rozterkach, o tym, jak jego wiara przechodzi różne fazy, w których chciałby nie mieć wątpliwości, a je ma. Wtedy ktoś skupi na tym uwagę i się zastanowi, bo w tym będzie prawda. Pomyśli może: „Ooo, więcej ludzi ma takie problemy jak ja”. Jest tak, że jedni próbują je pokonać, a drudzy od nich uciec. ■

rozmawiał o. Andrzej Bujnowski OP

Kenny Garrett, Piotr Wojtasik, Billy Harper



C. ASZKIELOWICZ

„niegig” „byzycy...”

Warszawa „pożera”. Jest zbyt wielka – mówią moi rozmówcy. Faktycznie. Potrafi pochłonąć. Potrafi też zafascynować lub wręcz przeciwnie – zniechęcić. Potrafi wywołać zachwyt, jak i niesmak. Każda podróż może okazać się wydarzeniem wgląd wielości lub nic nie znaczącym epizodem. Także muzyczna podróż jest w stanie wynieść na wyżyny.



Porozmawiajmy o „podróży” Habari Njema. Skąd przybywacie? Gdzie jest stacja wyjściowa?

Krzysztof Leśniewski: Od wielu lat w Gostyniu odbywa się Festiwal Piosenki Religijnej. To właśnie tam, całkiem przypadkiem, spotkaliśmy się z Dorotą i wspólnie wystąpiliśmy. Ona pięknie śpiewała, ja wtórowałem na gitarze klasycznej. Tak rozpoczęła się nasza współpraca, której konsekwencją były koncerty poezji śpiewanej. Jednocześnie przygotowaliśmy się do kolejnego festiwalu. Tym razem w rozszerzonym składzie: z perkusją, fletem. Zespół personalnie się zmieniał, długo rozrastał, ewoluował. Życie weryfikowało

skład: ludzie wybierali różne drogi, niektórzy wyjechali pracować do Anglii.

Dorota Mielcarek: Skład wiąże się ponieważ z tym, że po występie naszego duetu na Małej Scenie Festiwalu Song of Songs w 1999 roku podszedł do nas Marcin Pospieszalski i powiedział, że „było niezłe”, ale jemu brakuje pełniejszego składu. Umotywowало nas to do rozwoju i poszerzenia zespołu, co z kolei stanowiło krok do wybrania nieco innego rodzaju muzyki. Ja nie do końca spełniałam się w nurcie poezji śpiewanej. Brakowało mi energii, którą słycać w Habari Njema.

Nie tylko skład zespołu się zmieniał i ewoluował, ale i wasza muzyka. Pamiętam płytę demo nagraną kilka lat temu. Pięć zamieszczonych tam utworów było o wiele spokojniejszych, bez „zadziornych” gitar.

KL: Płyta jest zdecydowanie dojrzała od demo, które nagrywaliśmy na „setkę”, w dodatku nie na swoim sprzęcie.

DM: Muzyka się zmienia, bo i my się zmieniamy. Tak naprawdę, to my bardzo wstydzimy się demo. Nagrywaliśmy ją w strasznych warunkach: w kinie, w którym o godz. 19.00 zaczynał się seans. Mieliśmy niewiele czasu. Ale jednak, w jakiś sposób, przyjął się ten materiał, mimo wszelkich niedociągnięć, nie tylko muzycznych.

Płytę „Podróż” nagraliście już w dobrym studiu, u Roberta Friedricha ‘Litzy’ w Puszczykowie. Wasza współpraca rozpoczęła się od wspólnej kompozycji hymnu na Międzynarodowy Festiwal Muzyki Chrześcijańskiej „Poznań 2000”?

O „Podróży”, debiutanckiej płycie zespołu **Habari Njema**, z Dorotą Mielcarek, Krzysztofem Leśniewskim i Emilem Józefiakem

rozmawia Ilona Pliszka.

DM: Tak, od tego się zaczęło. Po pewnym czasie Robert zaczął przygotowywać „Małe Studio” i zaferował nam pomoc. Małymi kroczkami dotarliśmy do daty barbórkowej, bo to właśnie wtedy, w 2003 roku, w dniu imienin mamy Roberta, zaczęliśmy nagranie płyty.

KL: Samo nagranie nie trwało długo. Problem pojawił się z masteringiem, ze zgraniem materiału. Najpierw nie było odpowiedniego człowieka, a gdy już się pojawił, to nie miał czasu.

DM: Ostatecznie trafiliśmy na fachowców. Np. Marcina Górno, który zajmował się płytą Ewy Bem czy Golec u’Orkiestra. Gra w zespole Polucjanci. Jest więc nie tylko dźwiękowcem, ale i muzykiem. Także Macieja Błachnio – znanego m.in. ze współpracy z New Life’ M. Niestety, mieliśmy pod górkę z nagraniem tej płyty. Ludzie byli zajęci, nasz basista złamał palec dwa miesiące przed wejściem do studia. Ciągłe było coś nie tak. Ale teraz, z perspektywy czasu widzimy, że



miało to swój sens. Nabraliśmy dystansu do płyty, nie jest ona naszym bożkiem, a pewnym etapem.

Czy mi się wydaje, czy też słyszę wpływ Roberta Friedricha w tytułowym utworze „Podróż”?

DM: Z utworem „Podróż” to była zabawa. Nagrywaliśmy go o godz. 3.00 w nocy, byliśmy bardzo zmęczeni. Zaczęliśmy bawić się dźwiękami, Robert tworzył elektroniczne wstawki. Cały ten utwór jest pokrecony, takie było założenie. Mówi o niepewności, strachu, bieganiu po omacku. I taki klimat ma ta piosenka.

Na ile Robert miał wpływ na ostateczny kształt waszej płyty?

KL: Bardzo nam pomógł, na przykład w kwestii gitar. Podczas nagrania nagle okazało się, że coś jest nie tak, nie brzmi. Wspólnie szukaliśmy odpowiedniego dźwięku, linii.

DM: O tyle było prosto, że wchodziliśmy do studia z gotowymi pomysłami. Robert ma doświadczenie, ufaliśmy mu w 100%. Podobnie patrzymy na muzykę, nie było więc spieć, narzucania nam czegośkolwiek. Nie ingerował w nasze pomysły, ale je wspierał.

Doroto, wszystkie utwory są twojego autorstwa. Czujesz się lepiej jako tekściarz czy kompozytor?

DM: Nie rozróżniam tych dwóch rzeczy. Czasem cały utwór po prostu „wychodzi” ze mnie. Zdarza się też tak, że tekst dawno napisany leży w czerwonym pudełku na regale, w którym są różne moje pomysły spisane na papierze, i sięgam po niego grając jakąś melodię na pianinie lub gitarze. Kompozytor to zbyt wielkie słowo, nie zapisuję muzyki w nutach. Ona przychodzi. Traktuję to jako natchnienie od Boga, który daje mi piosenki, a ja przekazuję je dalej.

Twoje teksty są bardzo osobiste. Nie boisz się, że aż nadto?

DM: Raczej nie. Jestem otwartą osobą i wierzę w ludzi. Do tej pory nie spotkało mnie nic złego przez to, że jestem szczerą. Często po koncertach przychodzą ludzie i mówią, że to o nich śpiewałam. Odzew jest dla mnie największą nagrodą. Zdaję sobie sprawę, że kogoś może śmieszyć to, że śpiewam „kocham Pana, Panie Boże!!!”, ale nie przejmuję się tym. Kiedyś faktycznie ukrywałam w moich tekstach Boga pod różnymi symbolami, ale od momentu występu na S.O.S odkryłam, że są ludzie otwarcie mówiący o Nim. I są w tym autentyczni. Bóg zabrał ode mnie strach. Choć gdy śpiewam, że „w miłości nie ma lęku”, to kieruję te słowa także do siebie, żebym o tym nie zapomniała.

Powiedzcie, kto z was uczy się suahili? Skąd pomysł na nazwę zespołu zaczerpniętą z tak egzotycznego języka?

KL: Niestety nikt. Mamy przyjaciółkę, która skończyła lingwistykę. Ona nam pomogła, bo był czas, że występowaliśmy nawet jako zespół „Bez nazwy”. Suahili to język misyjny, Habari Njema znaczy „Dobra Nowina” – to esencja tego, co chcemy nieść. Mieliśmy opory, czy ktoś zapamięta tę nazwę, ale mimo iż jest ona trudna, to jak się ją usłyszy – pozostaje.

Habari Njema jest w podróży. Gdzie znajduje się teraz?

Emil Józefiak: Mamy stację, odpoczywamy. Planujemy wiosną koncertować, jesteśmy też otwarci na wszelkie propozycje grania. Zapraszamy na naszą stronę internetową: www.habarinjema.net, na

której można się dowiedzieć szczegółów dotyczących planowanych koncertów i innych nowości związanych z zespołem. Jest tam również fragment Słowa Bożego przygotowany na każdy dzień.

A jakie perspektywy w dalszej podróży?

KL: Nie planujemy szczegółów.

DM: Ufamy Bogu. On jest naszym głównym managerem, któremu pomaga Emil. Wszelkie plany są oddane Jemu, nie chcemy robić nic na siłę. Spokorniejsi w ciągu tych kilku lat nagrywania płyty. Kiedyś myślałam, że gdy już płyta się ukaże, to zupełnie zmieni się nasze życie. Teraz patrzę na to zupełnie inaczej: ona wreszcie jest i niech Pan Bóg wszystkim kieruje. Nie liczę na wiele. Jeżeli On tego zechce, to będziemy nagrywać kolejne płyty.

Kim jest Dorota Mielcarek i Habari Njema? Jak byście siebie określili?

DM: Może zabrzmiało to nieskromnie, ale uważam, że jesteśmy wybrani przez Boga, aby mówić ludziom, że w świecie zła i kłamstwa On JEST. Różnie nas doświadczał, różnymi drogami do siebie prowadził.

EJ: Gramy na Jego chwałę, nie szukamy w tym siebie. Dziękujemy Mu za życie, za to, co w nim robi, za doświadczenia, zarówno te pozytywne, jak i te, które

często trudno nam jest zaakceptować i przyjąć. A przede wszystkim za Jego śmierć i zmartwychwstanie.

DM: Wierzę, może naiwnie, że twórczość Habari Njema chociaż trochę dotknie ludzi i pomoże im znaleźć Boga.

Pierwsza płyta powstawała w bólach. Planujecie drugą?

DM: Na razie musimy odetchnąć, odpocząć. Mam pewne pomysły, które mówią głównie o miłości. Zarówno między ludźmi, jak i do Boga. Ale muszą one jeszcze dojrzeć.

Twoje pomysły są zapewne uzewnętrznieniem wewnętrznego stanu. W sierpniu, wraz z managerem Habari Njema, Emilem Józefakiem, staniecie na ślubnym kobiercu. W związku z tym w imieniu swoim, Redakcji i czytelników RUaH życzę wam, aby Bóg was prowadził i wspierał na każdym etapie życiowej podróży.

DM: Dziękujemy i prosimy o modlitwę. ■

rozmawiała Ilona Pliszka



M.M. STRUGAREK



nieskończona kopalnia fortepianów

*każdy świętej pamięci umiera więc żyje
cóż że go nie widzisz powraca do domu
siada przy stole czyta lampę świeci
czasem w bamboszach by nas nie obudzić
tylko śmierć umie ludzi przybliżyć do ludzi
nic dziwnego przecież tak to bywa
z nieba się tęskni zawsze po kryjomu*



Katarzyna Cudzych

Poezja księdza Jana Twardowskiego będzie żyła w nas tak, jak on sam. Jeśli ktoś raz usłyszał jego wiersz, z pewnością nie przejdzie obok niego obojętnie i sięgnie dalej. To twórczość, która każdym wersem i słowem przybliża do Boga i pomaga poznać Go osobiście. Takich ludzi jak ksiądz Jan się nie zapomina. To ktoś, kto odmienił serca tysięcy poprzez swoją twórczość, ale i poprzez swoje życie. Sam nigdy nie uważał się za poetę, mówił tylko, że „pisze wiersze”. Były i są one odbiciem tego, kim był naprawdę: filozofem, bogatym w doświadczenie i głęboką mądrość życiową teologiem i księdzem katolickim, ale też ciepłym, pełnym poczucia humoru, traktującym życie z przymrużeniem oka człowiekiem. Nic dziwnego, że jego tak bogata twórczość spotkała się z żywym odbiorem wśród zupełnie różnych grup ludzi. Wielu nie tylko czytało jego wiersze, ale traktowało je jako punkt wyjścia do swej muzyczopiosenskiej twórczości. Materiał muzyczny, jaki powstał w ostatnich latach na bazie poezji księdza, jest tak szeroki, że trudno go ogarnąć. Z pewnością teraz, po jego śmierci zainteresowanie nim jeszcze się wzmoże. Niestety, tak to już bywa, że, jak napisał sam w wierszu „Nieszczęście nie-nieszczęście” – tylko śmierć umie ludzi przybliżyć do ludzi... Dlaczego sięgano właśnie po jego teksty? Co one mówią wykonawcom, kompozytorom, którym kilku przyjrzymy się poniżej? Skąd takie u nich decyzje opracowań muzycznych?

† ks. Jan Twardowski

„Dla mnie osobiście były to pierwsze teksty w języku polskim” – mówi znany w Polsce wokalista jazzowy greckiego pochodzenia, **JORGOS SKOLIAS** – *Dotychczas nie śpiewałem po polsku, bo nie odpowiadali mi tekściarze. Wiersze księdza dotyczą samej istoty rzeczy, są prawdziwe i piękne*. Skolias



nagrał w 1994 roku płytę z zespołem Tie Break do wierszy z tomiku księdza Jana „Nie przyszedłem Pana nawracać”. Znalazła się tam również jego kompozycja „Do pani doktor”. To niekonwencjonalne opracowanie wierszy może budzić kontrowersje, gdyż brak tu lirycznych

melodii wykonywanych przy akompaniamencie gitary. Ale czy wiersze księdza są przeznaczone jedynie do takiego opracowania? Czy to tylko melancholijne i refleksyjne teksty, które potrzebują atmosfery „kontemplacyjnej”? Oczywiście, że nie. – „*Sam ksiądz Twardowski – opowiada JANUSZ JWAŃSKI – gdy miał wyrazić zgodę na wydanie płyty, spytał: Czy wasza muzyka jest tak smutna, jak smutną muzykę piszą do moich wierszy?*”. Muzycy oczywiście zaprzeczyli – „*My nie jesteśmy smutnymi ludźmi, jesteśmy jazzmanami!*” – Janusz dodaje, że „*owszem, teksty są poważne, refleksyjne, czasem wręcz sarkastyczne, ale nie smutne*”. Mnóstwo w nich kontrastów, zarówno jeśli chodzi o tematykę jak i dobór słów, dlatego więc upraszczać i wkładać je w ramy i schematy? Podobnie jest



1. VI 1915 - 18. I 2006

z muzyką Tie Break, trudno ją jednoznacznie określić. Sam Jorgos stwierdza, że nie lubi klasyfikacji. Słuchając wspomnianej płyty nasuwa mi się stwierdzenie, że słowa są tu niejako pretekstem dla muzyki. Ciekawe rozwiązania rytmiczne, harmoniczne i melodyczne wydają się stanowić jej centrum. W rzeczywistości poszczególne utwory powstawały do gotowych już tekstów, w związku z tym, to one są punktem wyjścia. „*Myszę, że jest to muzyka pogłębiona o warstwę tekstową wielkiego poety*” – komentuje Jorgos. Janusz Jwański stwierdza – „*Wiersze idealnie pasowały do naszej muzyki*”. Projekt Tie Breaku to spoj-

zenie na poezję księdza Jana od innej strony niż dotychczas.

„Księdzu bardzo spodobał się projekt nagrania, a potem sama płyta – wspomina Jorgos – sam jednak nie poznałem go osobiście”.

Janusz natomiast miał taką okazję. Było dla niego wielkim przeżyciem spotkanie z „nieprzeciętnym i wybitnym”, ale i trochę już zmęczonym człowiekiem. Oprócz kompozycji stworzonych na potrzeby Tie Breaku, jak „Powiedz”, czy „Telefon milczy”, Yanina skomponowała jeszcze kilka, i do dziś je wykonuje na swych koncertach, gdyż, jak twierdzi, „ksiądz Twardowski to nieskończona kopalnia fortepianów, a jego poezja, choć prosta, wchodzi pod skórę”.

MAŁGORZATA MASALSKA – warszawska aktorka dramatyczna, na pytanie, dlaczego śpiewa piosenki od słów księdza Twardowskiego, jednoznacznie stwierdza, że pragnie, by ludzie sięgnęli po jego wiersze, poznali je lub odkryli na nowo. „Są one tak niezwykle ważne, że trzeba robić wszystko, by je rozpowszechnić”.

Poezja od zawsze w jakiś sposób pojawiała się w jej życiu artystycznym. Śpiewała wiersze Stachury, ks. Wacława Buryły, także swoje własne. Twórczość księdza Jana urzekła ją połączeniem filozoficznego podejścia do życia z owym „przymrużeniem oka”. Nasycona jest głęboką obserwacją rzeczywistości, mądrością, także smutkiem płynącym z refleksji nad przemijaniem i kruchością życia.

Kompozytorem, a zarazem aranżerem jej piosenek jest od lat Waldemar Koparkiewicz. Opracowanie muzyczne wierszy jest u niego ściśle związane z ich tematyką, pisze utwory poważne i nasycone humorem. Przykładem tych ostatnich są melodie do zabawnych wierszy księdza Jana – „Karmelitanka Bosa” czy „Wielkanocny Pacierz”.

MAREK STRYSZOWSKI – wokalista i pianista jazzowy – wykorzystał poezję księdza Jana do realizacji projektu „Droga Krzyżowa – Muzyczne Obrazy i Impresje”. Poszczególne stacje Drogi Krzyżowej rozpoczynają recytowane teksty księdza, w tle pojawia się muzyka. Czysta improwizacja oparta o fragment wiersza, a zarazem biblijną scenę Drogi Krzyżowej. Niezwykła kompilacja wydarzeń z przeszłości i teraźniejszości – Droga Krzyżowa Jezusa uzmysławia, że codzienne dźwiganie krzyża jest także powołaniem współczesnego człowieka. Książę Twardowski mówił o tym często – o samotności nieodłącznej od każdej chwili naszego życia, o bólu, cierpieniu, o naszej słabości, ale i odwadze, o wierze wbrew przeciwnościom, o mądrości. I właśnie z inspiracji tymi problemami powstała muzyka – czysta, prawdziwa, szczerą, płynąca prosto z serca i trafiająca do drugiego człowieka. Czy można odbierać ją jako rodzaj



muzyki ilustracyjnej – muzyczny komentarz do obrazów z Biblii pokazanych w wierszach? Myślę, że byłoby to zbyt wielkie uproszczenie. To swobodna gra wspomnień, odczuć, wyobrażeń powstała „pod wpływem” – wydarzeń, słów, myśli. Muzyka, która jest inspiracją, a zarazem sama może inspirować. Muzyka, która jest modlitwą i zachęca do modlitwy.

WIESŁAW WOLNIK – to multiinstrumentalista, wokalista, autor muzyki na wydanej na początku lat 90. płycie „Jeśli jest miłość”. Piosenki do wierszy księdza Twardowskiego pełne są na niej głębokiej melancholii i refleksji, przywołują na myśl noc przy świetle księżycy. Z doświadczenia wiem, że nie powinno się szufladkować dzieł sztuki, jednak zaryzykuję stwierdzenie, że jest tu dużo z potocznie rozumianej poezji śpiewanej. Piosenki z melodiami Wolnika mają w sobie zarazem coś niepowtarzalnego. Ich cechy to – liryzm, spokój, powaga i skupienie, ale też mnóstwo ciepła i optymizmu. Przesłanie autora słów zbiega się z tym, które chce zakomunikować nam Wiesław. Słowa są wyjątkowo czytelne, podkreślane poprzez melodie, to one stanowią tu centrum, muzyka jest niejakiem uzupełnieniem. Piosenkarz wyszukaną atmosferą nadaje im charakter, czytelność, wzmacnia sens. Wszystkie zastosowane środki pomagają zdecydowanie poczuć smak i specyfikę twórczości księdza Twardowskiego.

MIETEK SZCZEŚNIAK – swą ostatnią płytę autorską zatytułował w oparciu o „Wiersz z banałem w środku” – „Spoza nas”. Jest to jedyna piosenka, którą stworzył do słów księdza, ale przyznaje (RUaH 13/2000), że jego twórczość jest mu bardzo bliska i miał w planach sięgnąć także po inne wiersze. Dlaczego akurat ten? Bo dotknął go osobiście. – „Po prostu mnie zatkało. To jest niezwykle człowiek. Niezwykle jest jego myślenie. Nikt nie potrafi tak jak on obłąkawić chwile szczególnie trudne, wytlumaczyć je, oswoić. To, co nas spotyka, przychodzi spoza nas – czyli od Niego, co tu dużo gadać. Pośrednio i bezpośrednio”. Melodia piosenki, utrzymana w klimacie bossanowy, zdaje się płynąć, co podkreśla tym samym znaczenie słów – *nie bój się chodzenia po morzu*. Sama byłam świadkiem (Strefa Chwały, Gródek 2005), jak Mietek dzielił się sposobem, w jaki kształtował jej linię melodyczną i rytmikę. Najpierw wchodził w klimat wiersza, budował nastrój piosenki, niejako zanurzał się w nim. Tematyka i charakter tej kompozycji współgra z resztą jego piosenek. Wszystko w niej, tekst, muzyka i wykonanie tchnie prawdą, pobudza do myślenia i skłania do sięgnięcia po inne wiersze autora. Mam nadzieję, że Mietek także po nie jeszcze sięgnie.

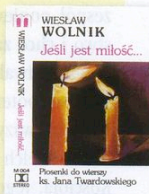
W przypadku **MAŁGORZATY ROMAN** – autorki płyty „Piosenki dla Pana Boga”, również możemy mówić o jednej piosence powstałej na bazie słów księdza Jana. „*To nieprawda, że szczęście*” była jedną z ulubionych Janusza (ś.p. redaktora naczelnego RUaH) – wspomina jego żona, Małgosia Kotarba. Z pewnością

piosenka ta ma w sobie coś niepowtarzalnego, co trudno zwerbalizować (to w przypadku poezji księdza Twardowskiego częste). Oddaje ona sens słów wiersza, przyzywa na myśl obrazy, o których mówi. Uspokaja, nastraja i skłania do refleksji.



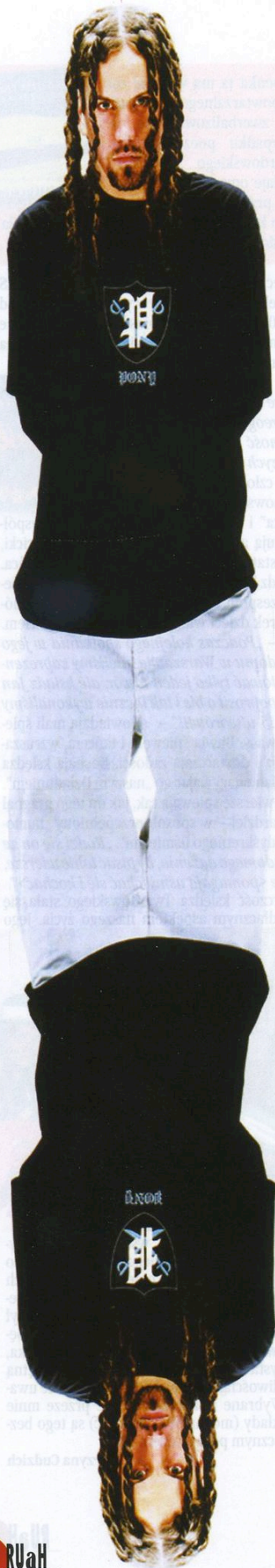
Dziecięcy zespół wokálně-taneczny **YCHTIS** z Piekar Śląskich (www.ychtis.art.pl) – od 2000 roku śpiewa piosenki komponowane niemal wyłącznie do wierszy księdza Jana Twardowskiego. – „*Śpiewamy wiersze ks. Jana Twardowskiego, które w pięknej oprawie choreograficznej cieszą publiczność zgromadzoną na naszych koncertach*” – mówią członkowie grupy. Do jej najnowszych utworów należą „Arka” i „Bezdzietny Anioł”. Z Ychtis współpracują artyści – Ewa Uryga, Jacek Wójcicki, a ostatnio Chór Benedyktynów z Tyńca. Książę Twardowski był informowany o istnieniu zespołu od samego jego zaistnienia, chórkiem dzieci wielokrotnie był jego gościem. – „*Podczas kolejnego spotkania w jego domu w Warszawie mieliśmy zaprezentować tylko jeden utwór, ale ksiądz Jan poprosił o bis i tak łącznie wykonaliśmy 15 utworów!!!*” – opowiadają mali śpiewacy. Bawią śpiewem i tańcem, wrzeszczą i dostarczają radości. Kochają księdza Jana nazywając go „naszym Dziaduniem”.

Jego wiersze śpiewają tak, jak on tego pragnął najbardziej – w sposób przepelniony „humorem dyskretnego uśmiechu”. „*Rodzi się on ze świadomego dążenia, by pisać takie wiersze, które pomagają uśmiechać się i kochać*”. Twórczość księdza Twardowskiego stała się nieodłącznym aspektem naszego życia. Jego



wiersze cytowane są wszędzie i wykorzystywane przy najróżniejszych okazjach. Co ciekawe, także wśród przedstawicieli innych wyznań. Kiedyś spotkałam Żydów, którzy recytowali jego wiersze. Dzieło, które tworzył przez lata i pozostawił po sobie jest, było i będzie wielką inspiracją dla każdego człowieka, a artysta – człowiek obdarzony nieprzeciętną wrażliwością, tym bardziej zwróci na nie uwagę. Wybrane i zaprezentowane przeze mnie przykłady (można by je mnożyć) są tego bezsprzecywnym potwierdzeniem. ■

Katarzyna Cudzych



Head

Nawróceni

Paweł Gzyl

Co jakiś czas dowiadujemy się o kolejnych nawróceniach w rockowym świecie. Okazuje się, że Stwórca dociera wszędzie tam, gdzie ludzie szukają autentycznej prawdy i wolności. I to właśnie do Niego prowadzą nawet te najbardziej kręte drogi.

W ZGODZIE Z BOGIEM

27 lutego ub. roku, **Brian Welch**, znany jako **Head**, gitarzysta metalowej formacji Korn wygłosił w swym miejscowym kościele w Bakersfield w Kalifornii publiczne oświadczenie. Powiedział, że opuszcza macierzysty zespół, ponieważ nawrócił się na chrześcijaństwo i chce zacząć nowe życie. Jego słowom przysłuchiwał się dziesięcioletni tłum. Wkrótce potem Head pojawił się w CNN i potwierdził wszystko wobec całego świata.

Brian Welch wychowywał się z dala od Kościoła. Jego rodzice byli niewierzący, nie widzieli więc potrzeby zaznajamiania syna z chrześcijaństwem. W wieku 12 lat młody chłopak zaprzyjaźnił się jednak z kolegą, który zaczął go zabierać do kościoła. Jego rodzice wyjaśnili Welch'owi, kim był Jezus i jakie było Jego przesłanie. Kiedy przyjaciel wyprowadził się z sąsiedztwa, chłopak zapomniał o wierze. Otworzył się wtedy przed nim barwny świat rocka.

Korn zablysnął oryginalną muzyką, która była alternatywną wersją metalu – potężnym riffem gitar i masywnym podkładem tworzonym przez sekcję rytmiczną towarzyszyły przejmujące wokalizy niosące mroczne teksty, opowiadające o seksie, przemocy i narkotykach. Kolejne płyty zespołu stawały się bestsellerami, sprzedając się w milionach egzemplarzy na całym świecie.

– Kiedy zaczęliśmy grać, Korn był zupełnie inny, mieliśmy władzę nad tym, co zamierzaliśmy robić – wspomina Head w jednym z wywiadów. – Ale z ostatnią płytą wszystko się zmieniło. To, co robiliśmy, nie było już dla fanów, ale dla pieniędzy. Zaczęło narzucać nam, co mamy grać. Chciano pokierować nami, tak jak chłopakami z Backstreet Boys.

Rock'n'rollowe marzenie zaczęło się z czasem zamieniać w życiu Heada w rock'n'rollowy

koszmar. Pojawił się alkohol, narkotyki, przypadkowe związki z kobietami.

– Doszedłem do momentu, w którym chciałem zginąć – podkreśla. – Nie obchodziło mnie życie. Myślałem, że sięgnęłam dna, gdy opuściła mnie żona, a ja byłem w trasie. Zaczęła imprezować, zadawać się z innymi facetami, zabrała pieniądze i zostawiła mnie z córeczką. Ponieważ Head nie miał wyjścia, wziął dziecko na tournee Korn. – Zespół zgodził się płacić mojej córce dolara, za każdym razem, gdy ktoś przeklnie w jej obecności – wspomina. – W ten sposób zarabiała sto dolców dziennie. Powiedziałem im, żeby się uspokoiła, ale ona była tym podniekształcona i to nie zadziałało.

Stosunki w Kornie zaczęły pogarszać się z dnia na dzień. – Moi przyjaciele stawali się podli dla siebie i zaczęli nienawidzić siebie nawzajem – zaznacza. – Jeden gość nie mógł pójść do przebieralni, gdy tam był jego dawny kolega. Plotkowali o sobie nawzajem, rywalizowali o kobiety, traktując je jak przedmioty. Nie mogłem już robić tego dłużej.

Pewnego dnia Head usłyszał, jak jego córka chodzi po domu i śpiewa fragment utworu Korn: „Chcę uprawiać seks przez cały dzień”. To przechylilo czarę goryczy. – Zadzwoniłem do chłopaków i powiedziałem im, że przyłączam się do Kościoła i rezygnuję z zespołu – wspomina. Head zdał sobie sprawę ze swoich słabości – największych z nich było uzależnienie od narkotyków. – Poszedłem do kościoła i powiedziałem Panu: „Uratuj mnie od uzależnienia od narkotyków i alkoholizmu, mojej depresji i gniewu – wspomina. – Jeżeli jesteś Bogiem, uzdrow mnie. Daj mi spokój i radość, o której każdy mówi, że ją masz”. I Pan tak zrobił.

Po wydaniu swego oświadczenia, Head

skontaktował się z wszystkimi osobami, które kiedyś skrzywdził i przeprosił je za to, co im wyrządził. Odwiedził żonę, która została aresztowana za posiadanie narkotyków i pogodził się z nią. Dziś są najlepszymi przyjaciółmi. – *Kocham siebie i kocham każdego człowieka* – wyjaśnia. – *Jestem odmienioną osobą. Zażywałem każdy narkotyk, o jakim można pomyśleć, ale uczucia, które teraz mam, są lepsze niż te, które wtedy odczuwałem. Narkotyki imitują uczucie obecności Boga. Prawdziwy kontakt ze Stwórcą wywołuje dreszcze i... nie ma po nim bólu*



Korn

głowy. Nie czuję ani nienawiści, ani lęku, ani gniewu, ani smutku. Mam tyle pokoju wewnątrz. Mogę iść do każdego i podzielić się miłością. Jestem w zgodzie z Bogiem i pomagam ludziom.

Head natychmiast przystąpił od słów do czynów – wspólnie z aktorem Stephenem Baldwin'em, również chrześcijaninem, założył fundację, która rozpoczęła budowę sierocińców dla bezdomnych dzieci – najpierw w Indiach, a potem w innych ubogich krajach świata. – *Dziękuję wszystkim, co posiadam* – wyjaśnia. – *Mam basen w hawajskim stylu z mostkiem i wodospadem. Zabieram tam wszystkich biednych ludzi, którym pomagamy. Chrzcimy ich w tym basenie. Zapraszam wszystkich do swojego domu. Chcę, aby ludzie słuchali tu dobrej muzyki, jeździli przy niej na skateboardzie. Będziemy organizowali wyścigi motocrossowe. Mam pomysł, aby stworzyć Instytut Sztuki Miejskiej. Chcę, aby młodzież miała miejsce, gdzie mogłaby przyjść i uczyć się nagrywania, miksowania i produkowania muzyki. Tu znajdą kreatywne ujęcie dla swej frustracji, więc nie będą kupowali narkotyków i broni. Proszę Boga każdego dnia, aby pomógł mi przyprowadzić tych ludzi do Kościoła.*

Head pracuje również nad własną płytą – będą na niej piosenki o dzieciach, na których dokonano aborcji, o lojalności między przyjaciółmi, a także apel do raperów w rodzaju 50 Centa, aby zaprzestali propagowania agresji i konsumpcyjnego stylu życia. Jedyna



Head

instrumentalną kompozycję gitarzysty zadeedykował zastrzelonemu niedawno Darrelowi Dimebag'owi z Pantery.

– *Dimebag zginął tylko dlatego, że przez niego rozpadła się Pantera* – wyjaśnia Head. – *Teraz, gdy opuściłem Korn, w pewien sposób też stałem się celem. Ale nie obawiam się. Pokój i radość, które płyną z obecnego życia, sprawiają, że nie boję się śmierci. Mógłbym dzisiaj umrzeć. Płyta Heada ma się nazywać „Invitation Have Been Sent To All” – „Zaproszenie zostało skierowane do wszystkich”. Nowych wieści o poczynaniach artysty można szukać na jego stronie internetowej – www.headtochrist.com*

ROZRYWANIE KAJDANÓW

Podobną metamorfozę, jak Head przeszedł niedawno wokalista Megadeth – **Dave Mustaine**. – *Kilka lat temu zwróciłem się w stronę Boga i zostałem chrześcijaninem* – potwierdza w jednym z wywiadów. – *Tak czy inaczej, nie sądzę jednak, że bym mógł o sobie powiedzieć, że żyję w całkowitej zgo-*



Dave Mustaine

dzie z przykazaniami Pana. Nazwałbym się raczej studentem, który ciągle się uczy. Nie obnoszę się ze swoją wiarą. Zwłaszcza, że spotkałem się z atakami ze strony ludzi, którzy uważają, że przeżycia religijne są zarezerwowane dla osób żyjących w bojażni przed piekłem, a komuś, kto nagrzyszył tyle, co ja – wara od religii. Czy jednak ktoś, kto upadł tak nisko, że trafił za życia do piekła, nie ma prawa szukać drogi do Boga?

Świadectwem przemian myślowych Mustaine'a jest ostatni album Megadeth – „The System Has Failed” – z 2004 r. Przynosi on

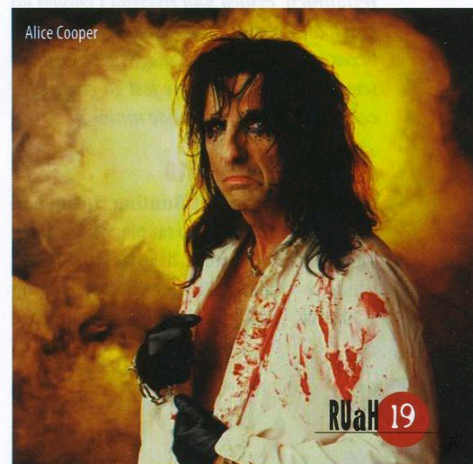
radykalną zmianę tekstów – w utworze „Shadow Of Death” pojawia się cytat Psalmu 23, a w pozostałych muzyk wytyka swoim rodakom takie wady, jak niszczenie tych, którzy odnoszą sukcesy czy robienie karier za wszelką cenę. Piętnuje również zepsucie i korupcję szerzące się w tak ważnych instytucjach, jak sądownictwo, szkolnictwo i armia. Co ciekawe – Mustaine był jednym z niewielu rockmanów, którzy stanęli po stronie prezydenta Busha po rozpoczęciu jego interwencji w Iraku.

Kilka lat temu na chrześcijaństwo nawrócił się mistrz horrorrocka – **Alice Cooper**. Opinia publiczna dowiedziała się o tym, dopiero kiedy skrytykował w mediach Marilyn Mansona za niszczenie Biblii podczas występów na scenie. Cooper powiedział, że rozrywanie Pisma Świętego jest dla niego obraźliwe, a poza tym zupełnie nie zgadza się z tym, co mówi i robi kontrowersyjny Manson, uznający Coopera za swego idola.

– *Obecnie świat tak naprawdę potrzebuje zastrzyku odpowiedniej moralności* – podkreślił Cooper w jednym z wywiadów.

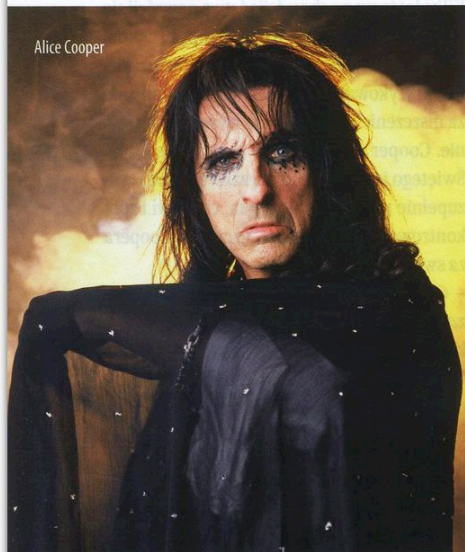
Cooper od wielu lat jest wolny od wszelkich używek oraz stanowi wzór troskliwego i wyrozumiałego ojca. W przeszłości muzyk był jednak tak silnie uzależniony od alkoholu, że w pewnym momencie bez opróżnienia butelki nie mógł wejść na scenę. Walkę z nałogiem podjął, kiedy jego organizm zaczął odmawiać posłuszeństwa. 53-letni dziś Alice Cooper podczas występów używał hektolitrowej czarnej cieczy imitującej krew. Gdy jednak w pewnym momencie zaczął pluć własną krwią, postanowił zerwać z nałogiem i prowadzić bardziej higieniczny tryb życia.

– *Byłem Deanem Martinem sceny rockowej, takim szczęśliwym pijakiem – zawsze miłym i nigdy nie opuszczającym koncertów* – wyznaje. – *Zdałem sobie sprawę, że mam poważny problem, gdy zacząłem pluć krwią na scenie. Jeśli masz do czynienia z fałszywą krwią, wszystko jest w porządku, ale gdy w końcu dochodzi do tego, że sam plujesz prawdziwą krwią, a nikt tego nie widzi, bo*



Alice Cooper

wszyscy myślą, iż to część show, to już nie jest dobrze. Wokalista podjął wówczas szybką decyzję i zgłosił się kliniki odwykowej. Dzięki swojej stanowczości od lat jest już „czysty”. Jednak, jak dziś wspomina, początek to był dla niego horror. – *Przez kilka dni wydawało mi się, że jestem kruchy, jak szkło – zaznacza. – To była prawdziwa tortura. Byłem „czysty” przez rok, a potem napiłem się z żoną lampkę wina i tego samego wieczoru wydoiłem jeszcze całą butelkę whisky. Nie mogłem uwierzyć, że tak łatwo mi to*



Alice Cooper

przyszło. Wówczas moja żona powiedziała: „Albo zaczniesz się leczyć, albo odchodzę”. Wróciłem więc na miesiąc do szpitala i od tamtej pory jestem całkowicie „czysty”. Nawet nie ciągnie mnie do spróbowania alkoholu. Mimo nawrócenia, na scenie Cooper nadal prezentuje horrorshow. Zawsze podkreśla jednak, że to tylko sceniczna zabawa. W życiu codziennym Vincent Furnier, bo takie naprawdę nosi nazwisko, jest żonaty od 25 lat z tą samą kobietą, która jest matką trójki jego dzieci. – Tych dwóch Alice Cooper’ów to totalne przeciwieństwa – wyjaśnia wokalista. – Ten drugi, pozasceniczny, zaangażowany jest w akcje charytatywne, w prowadzenie restauracji, czuwa nad rodziną i chodzi do kościoła. Pierwszy lubi być dziki i szalony przez dwie godziny każdego wieczoru na scenie. Bardzo zabawnie jest go grać, gdyż całkowicie różni się on ode mnie.

Z CIEMNOŚCI W ŚWIATŁO

Kiedy **David Michael Bunting**, znany później jako **David Tibet**, po raz pierwszy zetknął się z okultyzmem, miał... dziesięć lat. Mieszkał wtedy w Malezji. Zainteresowany opisem z okładki, kupił biografię słynnego maga

– Aleistera Crowley’a. Zachwycony opowieścią o „najniebezpieczniejszym człowieku świata”, postanowił zgłębić jego naukę. W szkole Tibeta jeden z nauczycieli, homoseksualista i okultysta, szybko zauważył pasję młodego chłopaka do poznania ciemnej strony duchowej rzeczywistości. Kupił mu więc „Magię i teorię w praktyce”.

W efekcie, kiedy Tibet skończył piętnaście lat, został najmłodszym członkiem okultystycznego zakonu Ordo Templi Orientis. W tym samym czasie twórcy muzyki industrialnej, odrzucając współczesną cywilizację zachodnią, jako zdegenerowaną i niszczącą indywidualność jednostki, zanegowali tym samym jej judeochrześcijańskie podstawy – duchowość i moralność. Szukając drogi do wolności w odrzuceniu wszelkich norm i praw, zwrócili uwagę na nauki Crowley’a i innych magów. Nic więc dziwnego, że po przybyciu do Anglii Tibet szybko stał się czynnym członkiem nowej kontrkultury. Świadectwem tego są płyty, które nagrał pod pseudonimem Current 93 – „Lashtal”, „Dog`s Blood Order”, „Dog`s Blood Rising”, „Nature Unveiled” czy „Nightmare Culture”. Wiele dźwięków zawartych na nich powstało podczas odprowadzania okultystycznych rytuałów. Z tekstów Tibeta wylania się przerażająca wizja świata opanowanego przez Szatana, gdzie ofiara Chrystusa była daremna. Z czasem psychika Tibeta zaczęła mu sprawiać problemy. – *Podczas pobytu na uniwersytecie w Islandii zacząłem odczuwać przerażające napady paniki, traciłem koordynację ruchów, dopadała mnie agorafobia – wspomina Tibet w jednym z wywiadów. – Lekarze zaczęli podejrzewać stwardnienie rozsiane lub raka mózgu. Zostałem hospitalizowany i musiałem wrócić do Anglii. Byłem na granicy śmierci. Zagrożenie życia sprawiło, że Tibet odrzucił okultyzm i nauki Crowley’a. – Okazało się, że moje dolegliwości były wywołane praktykami magicznymi – tłumaczy Tibet. – Dowiedziałem się, że Crowley pod koniec życia cierpiał na podobne stany – zmarł w kompletnej rozszypce. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Zbłądziłem”. Zrozumiałem, że magia to gówno. Jest bardzo niebezpieczna. o mało nie zostałem przez nią zniszczony. Mówię to z doświadczenia. Magia nie ma nic wspólnego z duchowością. To arogan-*



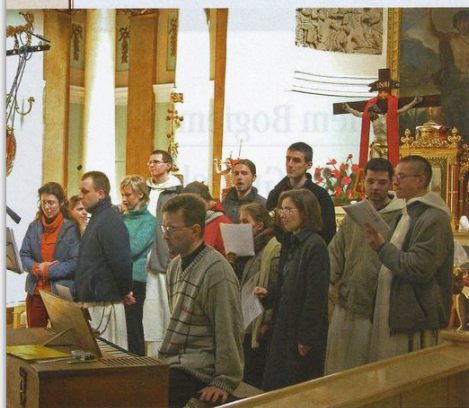
David Tibet

*cja i pragnienie władzy nad innymi. Znam wielu ludzi, którym moje płyty namieszały w głowach – i nie jestem z tego dumny. Tibet nie zaprzestał jednak duchowych poszukiwań, którym z czasem zaczęła towarzyszyć muzyka folkowa, odwołująca się do brytyjskiej tradycji celtyckiej i hipisowskiej psychodelii. Najpierw zafascynował go buddyzm, a potem gnoza. W ten sposób dotarł do Chrystusa. Dziś uznaje się za chrześcijanina – wśród swoich najsilniejszych inspiracji podaje Pismo Święte, za najważniejszego nauczyciela uznaje Jezusa, za ulubiony film – „Pasję” Mela Gibsona, a ukochaną muzykę – śpiewy gregoriańskie. Co ciekawe – szczególnie bliskie sobie wartości odnalazł w katolicyzmie z jego maryjną pobożnością. Ponieważ jest indywidualistą, nadal nie jest wolny od swoich prywatnych obsesji – uwielbia horrory Thomasa Ligottiego, fascynuje się światem kotów, od lat wieści nadejście Apokalipsy, która jego zdaniem będzie ostatecznym wyzwoleniem człowieka od zła (stąd jego muzykę określa się apokaliptycznym folklem). Każdą swą wypowiedź – wywiad czy list do fanów na stronie internetowej – kończy zdaniem: „God Is Love”. ■ [Zobacz też wywiad z Tibetem](#) **Paweł Gzyl***



David Tibet

DAWID KUSZ OP,
CD „Pieśń o nadziei”,
wyd. Dominikański Ośrodek Liturgiczny



tu zadaniem. Charakter tekstu zawsze uwypuklają środki wyrazu, choćby tak, jak to ma miejsce w utworze „Cała ziemia”. „Lekka” artykulacja, bogata instrumentacja podkreślają radosny charakter pieśni. Zgoda inaczej jest w utworze wykonywanym podczas mszy za zmarłych „Zbudź się o śpiący”. To nie tylko wołanie za tymi, którzy odeszli, jest to też śpiew dla wszystkich, którzy za sprawą grzechu czują się wewnątrz jak umarli. Ta niezwykła, pełna zadumy i spokoju pieśń to jak podróż w zaświaty... do innej, nie tylko muzycznej, rzeczywistości, do innego wymiaru życia, do krainy tych, którym chcemy zaśpiewać „Zbudź się o śpiący i powstań z martwych, a zajaśnieje ci Chrystus...”.

Osobny rozdział to Msza Adwentowa. Poszczególne utwory łączy idea celebracji i w muzyce słychać ten wielki szacunek dla liturgii eucharystycznej. Instrumentacja i harmonia są tu ściślej związane i podporządkowane głównej melodii. W rezultacie śpiewy te są pełne niezmiernie prostoty. Nie oznacza to bynajmniej surowej aranżacji. W ramach pewnych wytyczonych ram zadziwia nas kunsztowność i piękno wielu rozwiązań, zachwycają harmonie i brzmienia. Zaskakuje chociażby „Kyrie”, które, początkowo śpiewane przez duet sopranu i basu, przy kolejnych powtórzeniach zyskuje na sile dzięki stopniowemu powiększaniu aparatu wykonawczego. Prośba „Kyrie” przedzielana coraz to bardziej „zadziornymi”

skierowana do Matki Miłosierdzia jest utworem szczególnie mu bliskim. Można dołączyć do jego modlitwy, bo w litanii jest na to czas... Charakterystyczna dla tej formy jednostajność sprzyja medytacji.

Na płycie znajdują się też utwory, które nie są autorstwa ojca Dawida, zostały natomiast przez niego opracowane. To XVII-wieczna staniątecka pieśń maryjna „Gwiazdo morza” oraz pochodzące ze śpiewnika ks. Mioduszeńskiego: nieznaną wielkopostną pieśń „Boska Dobroci” i zapomniany „Hejnał” – taka staropolska „pieśń chwały”. Tradycyjne pieśni dobrze korespondują z twórczością ojca Dawida. W całej jego muzyce słychać wpływy renesansu i baroku. Chociażby w „Boże, Ty nie odmawiasz”, gdzie kontrastujący ze wzniosłymi zwrotkami refren „Alleluja” jest jak żywiołowy śpiew muzykantów z polskiego, barokowego dworu. Te zainteresowania renesansem i wczesnym barokiem ujawniają się też w kunstownej „Missa sine Nomine”. To twórczość... jakby dla idei, bo nie pisana dla potrzeb liturgii. To po prostu artystyczny przejaw miłości ojca Dawida do Eucharystii i muzyki dawnej zarazem.

Jest jeszcze jedna ważna kwestia. Nie sposób nie docenić wkładu pracy włożonego w przygotowanie tego bogatego materiału. Wiemy, że ojciec Dawid pracował nad tymi kompozycjami cztery lata. Trudno ocenić, ile czasu i prób kosztowało wszystkich muzykujących

Słucham „Pieśni o nadziei” ojca Dawida Kusza. Kiedy zamykam oczy natychmiast bezwiednie przenoszę się do bazyliki Świętej Trójcy w Krakowie i uczestniczę w liturgii sprawowanej przez oo. dominikanów. Taka jest siła i charakter tej muzyki.

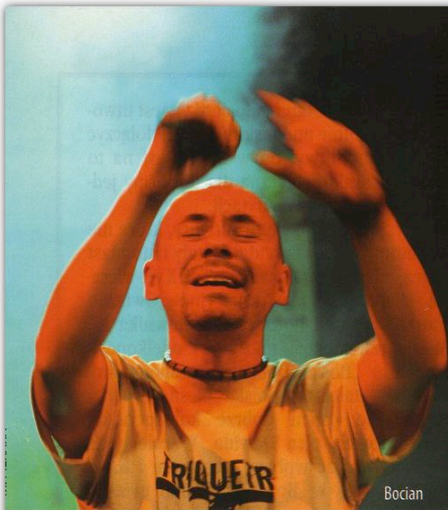
Większość utworów to kompozycje ojca Dawida. Przepiękne melodie i urzekające harmonie... Pieśni mają tradycyjne formy zwrotkowe z uroczystymi refrenami. Niektóre są już dobrze znane. „Duch Pański nade mną” to niemal przebój, o ile można w ten sposób nazwać popularny śpiew często towarzyszący Eucharystii. Zwrotki śpiewane są recytatywem. W oparciu o oszczędne środki muzycznej materii, sprzyjają refleksji nad pochyleniem Boga, który rozciąga opiekę nad nami. Tę zadumę regularnie przerywa piękny refren, bogato zaaranżowany instrumentalnie. Nie jest to bez znaczenia – tu bogate środki wyrazu służą wyrażeniu głębokiej wdzięczności, która budzi się w nas, gdy śpiewem rozważamy łaski, jakimi Bóg nas obdarza. Podobnie jest w innych pieśniach, bo też jakby inne zadanie mają zwrotki, które treścią bardzo przemawiają, w których muzyka tak bardzo podąża za tekstem, wręcz z nim płynie, a inne refren, do którego zazwyczaj podczas liturgii włączają się wierni, by wspólnie chwalić Boga. Modlitwa jest



interludiami niesie z sobą pewną potrzebną naturczywość. Moją ulubioną częścią Mszy Adwentowej jest śpiew na wejście: „Gwiazdo morza głębokiego”. To wyjątkowa modlitwa maryjna, podobnie zresztą jak „Litania dominikańska”. Matka Boża to zakonny patron ojca Dawida, Osoba bardzo mu droga. Dlatego kompozytor przyznaje, że litania

dojście do takiej precyzji wykonania, ale z pewnością nie były to okazjonalne spotkania. Towarzyszyły im zapal i zaangażowanie. To wszystko zaowocowało. Bardzo poruszający jest niezwykle, stylowy śpiew. Jest to muzyka naprawdę pięknie, po mistrzowsku wykonana, słychać, że całym sercem i całą duszą. ■

Beata Mencil



Bocian

Spowiedź ratuje nam życie...

O muzycznej pasji, prawdziwej przyjaźni i pojednaniu z Panem Bogiem z zespołem **KATOLIKA FRONT** rozmawia Weronika Ika Gurdek

Z Bocianem rozmawiałam w Chorzwowie po Festiwalu „Stróże Poranka” w 2004 roku. Grześ był wtedy bardzo ostrożny w mówieniu o kapeli, która dopiero co powstawała. Ale minął rok. Zagraлиście po raz drugi na Stróżach, można więc chyba powiedzieć, że skład zespołu i jego muzyka już się wykrystalizowała...?

Grzegorz ‘Bocian Bociański: Nasz pierwszy koncert w Chorzwowie w Teatrze Rozrywki miał być jednorazowym projektem. Zygmun i Jacek zgodzili się zagrać, tak po przyjacielsku. Wtedy Krzysiu jeszcze z nami nie grał. Każdy z nas ma rodzinę, dzieci i zupełnie nie wiedziałem, co z nami będzie. Ja miałem zapał i chęci, ale nie wyobrażałem sobie, i nadal nie wyobrażam, żeby kogokolwiek do czegoś zmuszać. Nie wiem, czy to dobre, bo są zespoły, które pracują dzień w dzień po kilka godzin. My przyjęliśmy założenie, że przede wszystkim cieszymy się tym, co robimy, nie chcemy zapętlić się w muzykę.

Jacek Przydryga: Ja bym powiedział, że wykrystalizowaliśmy się pod kątem osobowym. Mamy fajny skład, bardzo fajnie się nam razem gra, dobrze się ze sobą czujemy. To takie optimum, jakie można sobie wymarzyć, jeśli chodzi o zespół, o relacje między ludźmi. Każdy skład chciałby tak funkcjonować. Bez żadnego przymusu i wariactwa.

Bocian: Dziś ludzie nie przyznają się do uczuć, dziś trzeba być twardym albo wyluzowanym, a ja wypowiem niemiłe słowo: – tęsknię. Tęsknię za ich towarzystwem, kiedy się nie widzimy dłużej...

Jesteście po prostu przyjaciółmi...

Bocian: Jesteśmy i jest radocha. Pamiętam początki naszego grania. Przypuszczam, że o numer, który jest teraz na składance RUaH – „Hej Ty, słuchaj”, kiedyś byśmy się pozabijali. Miałbym tysiąc pretensji do Krzysia, że zgrzywanie trwa tak długo itd. Cieszy mnie, że teraz nie mam takiego ciśnienia.

Jacek: Reasumując, musieliśmy wiele czasu grać, żeby mieć właściwe podejście. Na pewno nie wykrystalizowaliśmy się jeszcze pod kątem muzycznym. Dalej będziemy poszukiwać. Każdy z nas jest fanem innej muzyki. Wspólny mianownik to energia i czad. Stylistycznie, niekoniecznie będzie to spójne, nasza muzyka będzie się ocierała o różne nurty.

Bocian: Ja się męczę jednym stylem. Ktoś gra metal, idziesz na koncert i jest półtorej godziny metalu, albo ktoś gra reggae i półtorej godziny reggae. Ja bym chciał grać wszystko. Jak mamy ochotę, żeby był numer punkowy, to gramy punk, a jak reggae, to zagramy reggae. Jesteśmy na tyle wolni, żeby się nie wpuścić w żaden kanał stylowy.

Nazywacie się Katolika Front. Prowokacyjna nazwa i automatyczne skojarzenie. Grzeška już o to kiedyś pytałam, ale teraz jesteście wszyscy razem i mogę powtórzyć – o co walczyacie?

Zygmunt Koperczak: O samych siebie. Każdy ze słuchaczy czegoś szuka, podobnie i my szukamy. My, poza Bocianem, jesteśmy jeszcze dalecy...

Bocian: Wszyscy jesteśmy w tym samym punkcie. Ziga...

Zygmunt: Tak, ale ja mówię, że szukamy. Po prostu szukamy...

Jacek: Ale są pewne analogie z naszą poprzednią twórczością. Ona też była bezkompromisowa, zawierała pozytywne przesłanie. Teksty były generalnie dosyć walczące...

Bocian: Był to jednak czas, że ja bałem się dosłowności. Nawet, gdy miałem na myśli Boga, nie użyłbym słowa Bóg, bo się wstydziałem. To byłoby nienowoczesne, jakby to zostało przyjęte? A teraz chcę dosłownie! Raz, że w to wierzę, a dwa, że nie może być właśnie niedopowiedzeń. Gdybym powiedział – światło, albo – energia, to wiesz, fajnie – energia, itp. A gdy powiesz – Jezus, jedni cię wyśmieją, drudzy

obrzucą błotem, a ktoś inny powie – OK! Nie chcę zostawiać żadnych furtek. Jezus to jest Jezus. Bóg to jest Bóg, nie energia...

Jak minął wam na koncertach ostatni rok? Graliście na Festiwalu „Stróże Poranka”. Gdzie, w jakim środowisku, widzielibyście teraz Katolikę?

Krzysiek Stasiak: To trudne pytanie... Granie na podobnych festiwalach...? Hmm... Ja jestem przeciwny ograniczaniu się. Chciałbym przede wszystkim grać w miejscach innych, ciemnych, tam, gdzie nie ma towarzystwa wzajemnej adoracji, gdzie nie mówią – Jezus, tylko – szatan. Tam gdzie się biją, gdzie jest zło. Niesiemy ze sobą Dobrą Nowinę, nasze koncerty są formą ewangelizacji. Powtarzam każdemu księdzu, z którym rozmawiam, żeby wyszedł na zewnątrz swojego środowiska i nasz zespół też to powinien robić. Tak widzę naszą misję.

Bocian: Tak, oczywiście! Gramy tam, gdzie nas zaproszą. Jeśli nas zaproszą do Jarocina czy na „Woodstock”, to pojedziemy tam bez żadnego obciachu i bardzo chętnie zagramy.

Modlicie się przed koncertami?

Bocian: Skupiamy się... (śmiej) Opowiem anegdotę... W Piekarach przed naszym koncertem cały czas ktoś ode mnie coś chciał. Łaziłem, a wy czekaliście. Przyszedł do mnie Jacek i mówi – Bocian, nie zapomnieliśmy o czymś? – a ja dalej nie wiem, o co mu chodzi. On – *Może byśmy się tak poskupiali?* (śmiej).

Zygmunt: Ale zawsze jest tak, że modlimy się, byśmy nie byli zgorznięciem, żeby nie było ważniejsze to, co my chcemy zrobić. Przed samym koncertem, kiedy tak naprawdę buzuje się krew i ciało, modlitwa nas uspokaja i wychodzimy w zupełnie innym nastawieniu. Przystaje mieć znaczenie, czy się pomylił, czy nie, także tysiące innych rzeczy, i świetnie czujemy się na scenie. Nie wiem, czy wcześ-

niej z kapelami czulem się aż tak dobrze, jak tutaj.

Bocian: Gdy graliśmy kilka lat temu, moje serce było nadęte pychą, próżnością... Że muszę być super, super wyglądać i zagrać. Cały czas było to „ja”. Tutaj też nie jestem do końca wolny od próżności, ale niczego nie odwalam. Zależy mi, żebyśmy dobrze zagraли. Chodzi o to, że nie my jesteśmy pierwsi, przed nami jest Bóg.

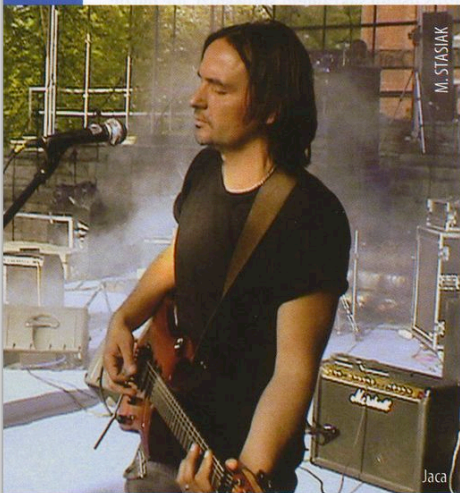
Jacek: Gdybyś kiedyś słyszała naszą modlitwę... Nie jest tak, że – *Panie Boże, żebyśmy się nie pomylili, a tej kapeli po nas struna pękła*. To jest podziękowanie za nas...

Zygmunt: Za siebie nawzajem...

Jacek: Nie proszę, tylko dziękuję... Tu masz stres, treść, ale na modlitwie zmieniasz zupełnie punkt widzenia. Jest nam po prostu różnie i przypominamy sobie, po co właściwie wychodzimy na scenę.

No właśnie... Co ten rok grania zmienił w was, w waszej sferze duchowej? Do czegoś was przybliżył?

Bocian: To, co mówiłem chłopakom gdzieś tam półsłówkami, teraz jest okazja, żeby powtórzyć. Każdy z nas jest na innym etapie. To nie to, że ja jestem z przodu, a oni w tyle, nie o to mi chodzi. Ale bardzo mi zależy na Jacku, na Krzysiu i na Zygmuncie, na ich życiu, także duchowym. To znaczy, ja nie stoję nad nimi jak inkwizytor i nie mówię, że mają chodzić do kościoła, bo jak nie, to się pogniemy, nic z tych rzeczy. Ja się codziennie za nich modlę – nie mówiłem wam tego – ale każdego dnia za cały zespół, za nasze dzieci i żony. Serce by mi pękło, jakby coś się z nimi

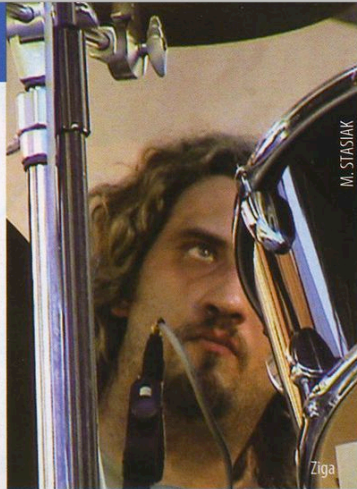


podziało w sensie duchowym. Na pewno bym im powiedział: – *Sluchaj, źle robisz...*, ale nie w taki sposób, jakbym stał z karabinem przy ich głowach...

Nigdy nie wiadomo, co nas spotka, co się wydarzy, każdy z nas się może nagle pogubić...

Krzysiek: Może wy – Ika i Bocian – jesteście bliżej.

Bocian: Ale my nie jesteśmy bliżej, cały czas



to powtarzam. Jesteśmy w tym samym punkcie...

Krzysiek: Każdy ma swoją drogę, dłuższą, krótszą... Pan Bóg zna nasze serca i wie, co się w nich dzieje.

Oczywiście, tyle dróg do nieba, ilu ludzi... W porządku. Wróćmy do muzyki. Mielicie sporą przerwę w graniu, Bocian i Jacek nawet dość wyraźną...

Zygmunt: Ja nie grałem osiem lat...

No właśnie. Skąd taka przerwa? Muzyka to pasja, która nie daje o sobie zapomnieć...

Krzysiek: Często nie daje też pieniędzy i kiedy się założyły rodziny, trzeba było pomyśleć o pracy. Dziś każdy z nas gdzieś tam pracuje, a granie to tylko hobby i to dość drogie. Nie mieliśmy na nie czasu, kiedy byliśmy na tzw. „dorobku”. Teraz, kiedy nasze życie się ustabilizowało, możemy zająć się nim na nowo. I to się jakoś nałożyło na powstanie tego zespołu...

Bocian: W listopadzie 2004 powstała Katolika, odbył się pierwszy koncert. Krzysiek dołączył do nas w marcu na miejsce Marcina Ziemińnicza. Szukaliśmy basisty. Jacek od kilku lat znał Krzysia jako muzyka, a potem realizatora dźwięku, ja również i nagle – basista, basista...? Krzysiek! Ale myślę – nie, on nie będzie chciał w czymś takim uczestniczyć, bo to nie jest poważny zespół, jeszcze o Panu Bogu i za darmo. A tu, okazuje się, pozytywna reakcja...

Krzysiek: Wymodlone... Przez was i przeze mnie również, bo akurat to był moment takiego małego nawrócenia i chciałem, żeby się tak stało.

Zygmunt: Ze mną też było sympatycznie. Miałem wiele lat przerwy, zacząłem grać w Korbowodzie i to też przypadkiem. Granie jest gdzieś wewnątrz cały czas i nie da się o nim zapomnieć. W Korbowodzie była ciężka praca, graliśmy koncert w Mikołowie, a tu ktoś mówi, że mój kolega jest tutaj. Nie widziałem Bočka chyba z 9 lat... Dziś w Katolicy czuję się fantastycznie.

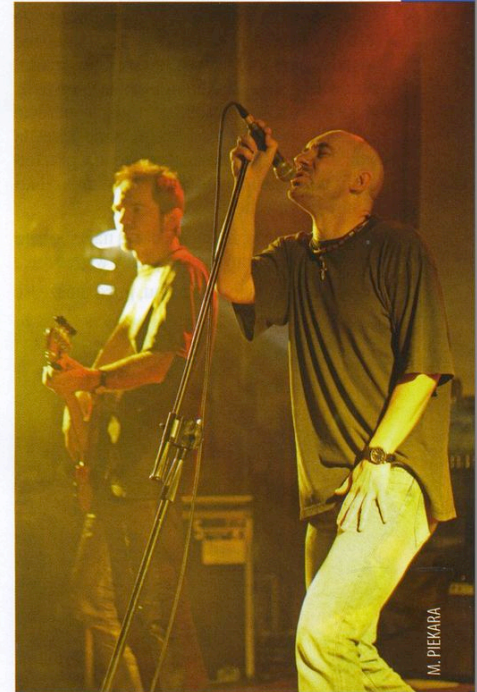
Bocian: Jedyną osobą, bez której nie wyobrażałem sobie zespołu, był Jacek. Gdyby nie zgodził się w tym finałowym momencie być z nami, zespół chyba by nie powstał.

Zygmunt: Myślę, że powstanie zespołu było

jakoś palcem Bożym przyłożone...

Wasz nowy numer – „Hej Ty, słuchaj” – jest o spowiedzi. Czy jest dla was sakrament pojednania? Czy nie macie czasem wrażenia, że w konfesjonale czeka na was groźny sędzia, a nie miłosierny Bóg?

Bocian: O. Augustyn Pelanowski powiedział mi kiedyś: *Grześ, nie trzymaj nigdy żadnego grzechu, nie odkładaj nigdy na następny dzień, czy dwa dni, nawet gdybyś pięć mi-*



nut wcześniej był u spowiedzi, jeśli upadłeś, nie czekaj do jutra. Bo grzech to śmierć. Nie daj Bóg, gdyby teraz coś się z mną stało, a byłbym w stanie grzechu ciężkiego... Byłoby to bardzo poważne wyzwanie dla Bożego miłosierdzia, tym bardziej, jeśli nie idę, bo mi się nie chce. A wróg cały czas odpowiada – tam jest sędzia, nie idź, bo tam czekają tylko na ciebie, żeby cię zdeptać, zgnoić. Mnie spowiedź po prostu ratuje życie...

Jest początkiem nawrócenia...

Bocian: Dokładnie. Jak człowiek jest chory na raka, to idzie do lekarza, nie czeka, nie mówi, że pójdzie za rok. Wtedy może już nie żyć. Podobnie odbieram spowiedź. Mam grzech ciężki, to muszę się pojednać z Panem Bogiem jak najszybciej. Jak słyszę, że ktoś mówi, że księża są tacy sami, że to, że tamto... Spowiednik cię może w ogóle nie zrozumieć, ale to nie o niego chodzi. Czasem jest tak, że idziesz do spowiedzi i myślisz: tyle nagrzeszyłem! Spowiadasz się i słyszysz tylko – *Przebaczam ci...* i wychodzisz. – *Kurczę – myślisz – tak mnie zbył, a wyznałem takie ciężkie grzechy*. Nie to jest sensem spowiedzi, że ksiądz się zachowa tak czy inaczej, czy da ci większą lub mniejszą pokutę, czy na krzyżczy albo będzie spał. Najważniejsze jest

- Ja odpuszczam tobie grzechy - i jesteś jak nowonarodzone dziecko.

Co odczuwałeś przed paroma laty w związku ze spowiedzią, gdy wspominaś swoje nawracanie się? Nie bałeś się jej?

Bocian: Jakoś właśnie ze spowiedzią nie miałem problemów...

W takich momentach ludzie nieraz są bardzo zablokowani...

Bocian: Ja odczuwałem raczej stres przed spowiedzią z całego życia. Okazało się, że jest sporo grzechów, których wcześniej nie wyznawałem, nie pamiętałem ich po prostu. Umówiłem się z kapłanem na taką spowiedź. Musisz próbować wzbudzić w sobie uczucie żalu, ale spowiedź to i tak głównie kwestia woli... Gdybyśmy polegali tylko na przelotnych uczuciach i emocjach, bardzo szybko byśmy się zniechęcili.

Krzysiek: Myśle, że Bociek ma tu na najwięcej do powiedzenia, bo my ciągle żyjemy w grzechu...

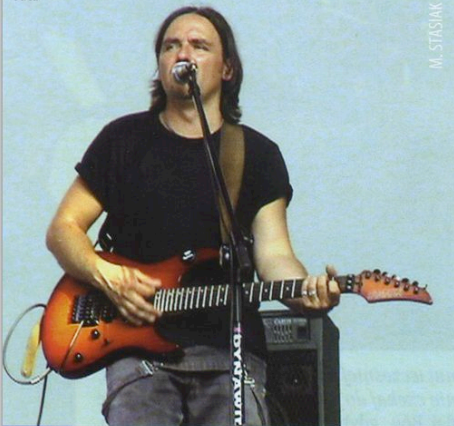
Bocian: Ja też żyję w grzechu, jutro muszę iść



Krzysiek

M. STASIAK

Jaca



M. STASIAK

do niesamowite doświadczenie. Poczulem się wolny i szczęśliwy. I to chcemy ludziom pokazać, żeby się nie bali i uwierzyli w to, co robia. Żeby podchodzili do życia z wiarą, nadzieją i miłością. I tylko tyle. Różne chwile przeżywałem przy konfesjonale, największy strach był, jak poszedłem do kogoś obcego...

Z tym chyba jest bardzo różnie, bo wielu mówi, że najtrudniej iść do kogoś, kto mnie zna... To największe upokorzenie...

Bocian: Kiedyś uważałem, że najchętniej chodziłbym do kogoś, kto mnie nie zna, żeby tylko wyznać ten grzech i nie robić wrażenia, że ze mnie taki porządny katolik. Raz musiałem pójść do księdza, który mnie dobrze znał. Potraktowałem to jako akt pokory. Bo widzisz, on wiedział, że jakoś tam się modłę, a ja miałem tu teraz wyznać taką kobylę...

Zygmunt: To ja wam opowiem jeszcze inną sytuację. Przed Pierwszą Komunią mojego syna ja też poszedłem do spowiedzi i... nie dostałem rozgrzeszenia. Odszedłem od konfesjonalu i usiadłem. Tu całe przygotowania, jakieś panie kwiaty układają, zamieszanie, a ja siedzę i nie wiem, co mam myśleć. Minęło może pięć minut, wybiega z tego konfesjonalu ksiądz, w czasie gdy ktoś się spowiadał, zadaje mi jedno pytanie, ja mówię

- Nie. A on - Uff, to mogę dać ci rozgrzeszenie! - On siedział w tym konfesjonale i cały czas nad tym myślał, a ja po prostu się zapadłem. Wychodzi, i błogość na jego twarzy. A ze mnie spadł taki ciężar... Czekałem drugi raz w kolejce. Niesamowite!

Jacek: Każdy z nas ma chyba takie doświadczenie, że jego los zależał też i od osoby duchownej. I wydaje mi się, że nie ominiemy tych spraw, że to jest ludzka rzecz. A księża są różni,

trzeba sobie zawsze uświadamiać, że nad nimi jest Ktoś wyżej...

Krzysiek: Jesteśmy zespołem katolickim i ten sakrament jest dla nas ważny. Dla naszej wiary...

Zygmunt: Przychodzisz, wyznajesz grzechy i jesteś jak nowy...

Wiele osób się nawróciło na katolicyzm właśnie dlatego, że jest spowiedź...

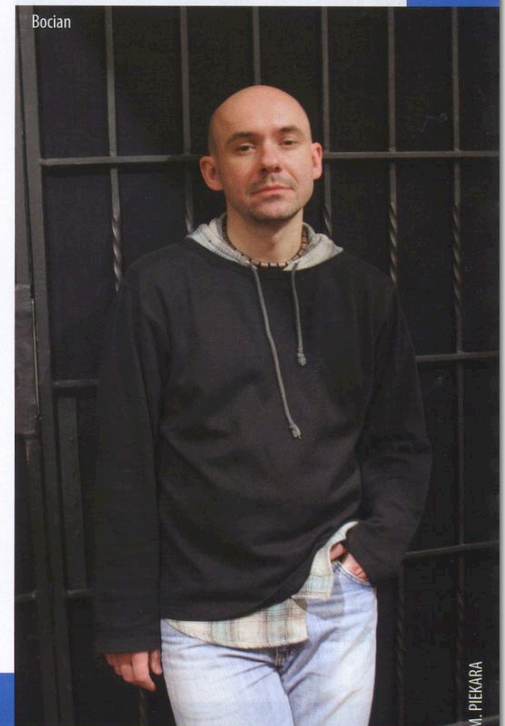
Bocian: „Hej Ty, słuchaj” to generalnie utwór o pojednaniu z Bogiem. Bo to Pan Jezus ustalił sakrament spowiedzi, nie ludzie, tylko On. Tu chodzi o fakt pojednania. Ważna jest intencja, tak samo szczerza u każdego chrześcijanina. ■

rozmawiała Weronika Ikah Gurdek

Ziga



M. STASIAK



Bocian

M. PIEKARA

Jacek Kowalski

IO

SARMACJA W NIEBOWZIĘTA

Siódmego października 1571 roku połączone floty włoska i hiszpańska odparły inwazję turecką pod Lepanto. W tym samym czasie ulicami Rzymu przechodziła błagalna procesja różańcowa, w której niesiono starożytną ikonę Najświętszej Maryi Panny z bazyliki Santa Maria Maggiore. Lud rzymski zwie ją szczególną patronką miasta: *Salus Populi Romani*. My zaś często mówimy o niej: Matka Boska Śnieżna. Zwycięstwo uznano za cud, a obraz Matki Boskiej Śnieżnej i święto Matki Boskiej Różańcowej rozpowszechniły się w całej katolickiej Europie.

SZEWSKA PIEŚŃ O PRAWEJ WIERZE

Siedemdziesiąt lat później armia sultana stanęła u granic Rzeczypospolitej, pod Chocimiem. Wtedy również i przez Kraków przeszła błagalna procesja różańcowa. I oto, kiedy w polskim obozie została już tylko jedna baryłka prochu, Turcy ustąpili, a pewien jezuita ujrzał w widzeniu Matkę Boską z Dzieciątkiem pośród obłoków, na promienistym rydwanie. Obrazy Matki Boskiej Śnieżnej zapelniały kaplice i nawy polskich świątyń. Nierzadko służyły jako cudowne.

Często kłękam przed jednym z takich wizerunków, naśladowujących rzymską ikonę – w kaplicy Matki Boskiej Różańcowej w małym, podpoznańskim Kórniku. Wizerunek jest piękny. Powstał jakoś w XVII wieku, ale kiedy dokładnie, nie wiadomo. Może po Chocimiu, może wcześniej? Po „potopie” pojawiły się wokół niego, wiszące do dziś, srebrne wota. W ramach ekspiacji za wybryki młodości, kórnicki burmistrz nakazywał wtedy rzemieślnikom „dać parą złotych na świecę do Najświętszej Panny albo ją sam kupić”. Wiadomo też, że dawniej śpiewano przed obrazem pieśń, którą znamy jedynie z relacji niezującego już, kórnickiego szewca:

*Najświętsza Panno w tutejszym obrazie!
Ratujże nas, ratuj w naszym ciężkim razie,
Ratuj nas, Maryjo, dodaj nam pomocy,
Broń nas od złych ludzi, od wszelkiej niemocy.*

*Skrusz serca twardsze nad lwa srogiego
I na smoka idąc nacierającego,
Z młodości lat moich, kiedyś mnie szukała,
Na koniec z szatańskiej paszczęki wyrwała.*

*Wyrwij mnie i teraz z ciężkiego frasunku,
Dodaj mi Panno Twój ratunek,
Maryjo, w Różańcu co słyniesz cudami,
Zlituj się, zlituj i módl się za nami.*



Pieśń nie jest wybitna. Na pierwszy rzut oka wydaje się nawet dość prymitywna: niektóre jej wersy są kulawe, niektóre wyrażenia niejasne lub niezręczne. Jednak nade wszystko jest szacowna. Odbija się w niej, jak w lustrze, długa tradycja staropolskiej poezji. Najpierw – nieśmiertelny Psalterz w przekładzie Jana Kochanowskiego. Sam Czarnolecki Mistrz nie napisał niczego ku czci Najświętszej Panny, ale jego poetycki język już w następnym pokoleniu został użyty ku chwale Marii. Zauważmy: to u Kochanowskiego, w sławnym psalmie „Kto się w opiekę” znajdziemy owego „lwa srogiego” i smoka. To w jego przekładach przeczytamy o Boskim „ratunku”, którego doznajemy w człowieczym „frasunku”, albo o „szatańskiej paszczęce”, z której nas Pan Bóg wyrwa. Ale to dopiero w pieśniach baroku zabrzmiała chwala Marii, która króluje „głową starwszy smoka okrutnego”, wedle przepowiedni Księgi Rodzaju. Dopiero w baroku będziemy prosić Boga, aby drastycznie „uderzył” w nasze serca i „skruszył” je (jak w „Gorzkich żalach”). I wreszcie jakże wiele cudownych, barokowych wizerunków Matki Boskiej witano podobnymi słowami: *Najświętsza Paniénko w tym świętym obrazie, / ratujże nas, ratuj, w każdym ciężkim razie.*

A jednak nie sposób dziś powiedzieć z pewnością: czy kórnicka pieśń powstała bardzo wcześniej, a jej nieregularności i braki wynikają tylko z długiego, ustnego przekazu, w którym żyła przynajmniej przez kilka pokoleń? – czy też na odwrót: powstała późno, wtedy, gdy skarby staropolskiej literatury już „zeszły pod strzechy” i gdy pieśni do cudownych obrazów stały się li tylko domeną proszalnych dziadków, niekiedy „lepiących” nowe wersje „na stare kopyto” – ale twardo i nieudacznie.

Jest wszakże jeszcze jedna osobliwość pieśni. W środkowej zwrotce znajdujemy jakby ślad opowieści o samym jej twórcy. Albo o zbiorowości śpiewających. Jakby – bo to zapewne tylko poetycka licencja, choć znacząca. Wynikałoby z niej, że autor „w młodości lat swoich” zbłądził na złą drogę, ale Matka Boska niczym dobry pasterz „szukała” go tak długo, aż „z szatańskiej paszczęki wyrwała”. O co może chodzić? Rozpusta? Zbrodnie jakieś? A może – młodzieńcze odejście od wiary, lub od macierzystego wyznania?

W dawnej Rzeczypospolitej to właśnie Matce Boskiej przypisywano pokojowe zwycięstwo katolików nad herezją, która w XVI stuleciu wydawała się wszechogarniająca, a w XVII prawie że w Polsce zanikła. I to bez stosów i wojen religijnych. Z tym wpływem Marii – pogromczyni herezji – pozwolę sobie związać kórnicką pieśń, bo rzeczywiście, zanim powstało tu różańcowe sanktuarium, dziedzice Kórnika przez dobre pół wieku byli innowiercami. Historia lubi się powtarzać, choć nigdy dokładnie. Dziś nie ma „problemu heretyków”. Jest jednak problem Prawej Wiary i wiary w ogóle. O taką wiarę prosili niewątpliwie kórnicki szewcy. Wielu robiło to jeszcze bardziej „wprost”. I takim bardziej „prosto z mostu” zaśpiewem, też z tamtej epoki, ale i też nadal aktualnym, pozwolę sobie zakończyć:

*O Panno, któraś pothumiła wszędę
Wszystkich nowych wiar
i odszczepieństw błędy,
Chciej wykorzenić i z naszej ojczyzny
Ostatki bluźnierstw i zetrzeć ich bliźny. ■*

Jacek Kowalski



*Pieśń
o niekończącej się
mitości*

MADREDEUS

O marzeniach, historii Portugalii oraz muzycznych inspiracjach z **Pedro Ayresem Magalhesem**, liderem zespołu **Madredeus**, rozmawia Marcin Zatyka



Od kilkunastu lat Madredeus plasuje się w czołówce światowych zespołów wykonujących poezję śpiewaną. Czy we współczesnym, coraz bardziej zabieganym świecie jest jeszcze miejsce dla tego gatunku? Czy jest jeszcze zapotrzebowanie na muzyczną refleksję?

Myslę, że nie powinniśmy oglądać się na „zabieganie” innych. Każdy z nas ma prawo do własnej przestrzeni muzycznej, do poszukiwania swojej natury, mimo że otaczająca nas rzeczywistość może być coraz szybsza. Ja od dawna lubiłem ten rodzaj muzyki, czułem pragnienie tworzenia melodii, która – uzupełniona treścią – tworzyłaby jakąś całość i miała sens. Od kilkudziesięciu lat komponuję poezję śpiewaną, której słucha trzydzieści pięć narodów. To utwierdza mnie w przekonaniu, że kierunek, który kiedyś obrałem, był właściwy.

Wydaje się jednak, że treść piosenek jest dzisiaj coraz mniej istotna, coraz bardziej marginalizowana...

Muzyka nie potrzebuje nasycenia poezją. Ale w przypadku naszego repertuaru trudno wyobrazić sobie, by jedno mogło funkcjonować bez drugiego. Poezja i muzyka od wieków przenikały się w kulturze Portugalii, na której bazuje Madredeus. Szkoda, że język portugalski nie ma takiego brzmienia i melodyjności jak polski. Niemniej jednak język i dziedzictwo historyczne Portugalii były dla mnie wyzwaniem, kiedy tworzyłem zespół. Od lat, komponując muzykę i przygotowując scenografię koncertową, chciałem zaprezentować innym narodom ten ogromny dorobek mojego kraju. O dziwo, Madredeus z powodzeniem promuje portugalską kulturę, utrzymując przy tym niezależność finansową. Nie jesteśmy dotowani przez władze państwowe.

Pozostaje tylko pogratulować... Niewielu wykonawców z Portugalii zdobyło takie uznanie poza Półwyspem Iberyjskim jak Madredeus. Czy nie sądzisz, że mieliście dużo szczęścia?

Na pewno. Kiedy patrzę wstecz na naszą dro-

gę artystyczną, to dostrzegam coś, co graniczy z cudem. Nieznana wcześniej grupa z Lizbony robi błyskotliwą karierę na świecie. I co ważne: bez obecności w show-businesie. Nie jesteśmy pokazywani ani w telewizyjnych wiadomościach, ani w talk-showach. Rzadko gościmy w audycjach radiowych.

Portugalska kultura jest głęboko zakorzeniona w chrześcijaństwie. Na ile jego wpływ jest silny w twórczości Madredeus?

Do początku XIX w. Portugalczycy realizowali europejską ideę ewangelizowania świata. Nie byli jej twórcami, ale nie przeszkadzało im to we wprowadzaniu jej w życie. Realizacja tej myśli polegała na cywilizowaniu nowo odkrytych terenów, na humanizowaniu świata. Dzisiaj jest już inaczej. Współczesna Portugalia to kraj podzielony pomiędzy wyznawców chrześcijaństwa i ateistów.

Do której grupy się zaliczasz?

Jestem chrześcijaninem, ale nigdy nie chciałem tworzyć zespołu religijnego. Madredeus

taki nie jest i nigdy nie był. Niektórzy członkowie zespołu są katolikami, inni nie; ale nie przeszkadza nam to w tworzeniu przesłania zawierającego dobro. To jest właśnie nasza poezja – liryka nasycona zgodą. Madredeus poprzez koncerty w różnych częściach świata pokazuje, że różnica, także ta międzykulturowa, nie oznacza dystansu. Przecież ludzie interesują się i fascynują właśnie różnicami w historii krajów, kultur czy języków.

Madredeus jest dzisiaj symbolem współczesnej kultury Portugalii. Nie ciąży wam to „zaszufladkowanie”, to ciągle kojarzenie was z fado i Lizboną?

Rzeczywiście, od czasu kiedy w połowie lat 90. wystąpiliśmy w filmie Wima Wendersa „Lisbon Story”, kojarzmy się na świecie jednoznacznie. W tamtym czasie wydaliśmy album „O Espirito da Paz” („Duch Pokoju”), który został przygotowany w taki sposób, by rozwiać te wszystkie konotacje. Postanowiliśmy wówczas, że nowa płyta będzie niosła ze sobą przesłanie pokoju, a my będziemy realizować misję głoszenia zgody i pojednania. Chcieliśmy mieć także – podobnie jak nasz kraj – wielki rozdział w swojej historii. Nie chcieliśmy być jednak ani kupcami cynamonu, ani chrzcicielami ludzi, ale tymi, którzy ukazują piękno języka portugalskiego i krzewią pewne wartości.

Co masz na myśli?

Na płycie „O Espirito da Paz” wskazujemy, jak należy żyć, aby nigdy nie stać się elementem konfliktu. W utworach jednoznacznie ustosunkowaliśmy się do tematu wojny, szalejącej wówczas na Bliskim Wschodzie i Bałkanach. Nasza trasa koncertowa wiodła wtedy przez różne zakątki świata. Chcieliśmy dzielić się pokojowym przesłaniem z tymi, którzy przychodzili posłuchać muzyki Madredeus. Cieszyło nas to, że możemy przekazywać innym nasze przemyślenia na temat budowania pokoju i zgody; że możemy powiedzieć także o otaczającej nas przyrodzie, morzu, barwach... Zobacz, tak wielu ludzi zapomniało o tym! Ich umysły zaprzątnięte są własnymi, egoistycznymi celami, które bardzo często są źródłem konfliktu.

Jednym z głównych motywów utworów Madredeus jest miłość. Tematu tego nie zabrakło również na promowanej teraz w Polsce płycie „Um Amor Infinito” („Niekoncząca się miłość”). Miłość dzisiaj definiowana jest w przeróżny sposób. O jakiej miłości mówi wasz nowy album?

Śpiewamy tam zarówno o miłości międzyludzkiej, jak również tej, którą człowiek kieruje do Boga. O takim uczuciu mówi choćby książka „O naśladowaniu Chrystusa” Tomasza a Kempisa. To bardzo stary utwór o miłości między człowiekiem a Bogiem. W naszych piosenkach pojawia się ona w podwójnym rozumieniu: jako relacja Bóg – człowiek oraz w postaci więzi łączącej ludzi. Słowa piosenek mogą być adresowane zarówno do przyjaciela lub ukochanej osoby, jak również mieć wymiar mistyczny. W nowym albumie pojawia się tęsknota za uniwersalną miłością, za wiarą i przeznaczeniem.

„Nie chcieliśmy być ani kupcami cynamonu, ani chrzcicielami ludzi, ale tymi, którzy ukazują piękno języka portugalskiego i krzewią pewne wartości.”

Ale w „Um Amor Infinito”, tytułowej piosenki albumu, napisałeś: „...mówią, że miłości boskiej już nie ma”. Czyżbyś też wątpił w jej istnienie?

„Um Amor Infinito” to synonim Boga. W portugalskiej kulturze został On bardzo zeświecczony. Często mówimy: „niech Bóg da”, „na Boga!”, „O, Boże!”... Uważam, że dla współczesnego autora pisanie o Bogu jest prawdziwym wyzwaniem. Tytułowy utwór jest właśnie takim wyzwaniem. Zacytowana fraza: „mówią, że miłości boskiej już nie ma” jest jednak w całym kontekście przekorna. Eksponuje istnienie Boga i jego uczucie do człowieka. Ukryte są w niej słowa kogoś, kto zdaje się mówić: „Skoro ludzie nie wierzą w miłość, ja nie wierzę w to, co oni myślą. Skoro nie wierzą, ja wierzę, że jest inaczej”. Czy mogliśmy myśleć w inny sposób? Twórczość Madredeus od zawsze była przepełniona pochwałą miłości, która jest niekończącym się źródłem inspiracji i twórczego napięcia; pasją, odwzajemnianą przez naszych wielbicieli. Od lat z różnych zakątków świata docierają do nas głosy: „Róbcie to, co zaczęliście. Kontynuujcie swoją pracę. Przyjeździe do nas z koncertem!”. Myślę, że jest to jakiś przejaw niekończącej się miłości, którą odnaleźliśmy w świecie. To niekończące się uczucie dla piękna, dla tworzenia, dla sztuki nie pozwala nam zgodzić się z tezą, że „miłości boskiej już nie ma”. My w to nie wierzymy! Poprzez naszą pracę i twórczość udowadniamy, że to uczucie istnieje; że ta więź jest silniejsza od uczucia rodzającego się między ludźmi.

W utworach, które skomponowałeś dla Madredeus, bardzo często podejmowany jest temat ludzkich pragnień. Czy wierzysz w przeznaczenie?

To zagadnienie od lat jest obecne w dyskusjach pomiędzy katolikami a protestantami. Erazm z Rotterdamu i Luter uważali, że bez względu na to, co robimy, podlegamy pewnemu przeznaczeniu. Ukryty jest w tym pewien fatalizm – Bóg przygotował pewien plan dla ciebie. Inni mówią: „Nie, to nie tak. Skoro nasze przeznaczenie jest już gdzieś zapisane, to nie ma sensu pracować nad sobą i próbować być lepszym”.

A ty co o tym myślisz?

W tradycji muzyki lisbońskiej fatalizm i przeznaczenie pojawia się bardzo często. Tego właśnie nie lubię w fado – myślenia w sposób negatywny. Idąc takim tropem dochodzi się do wniosku, że jeśli zdarza się coś, czego nie chciałem, to musi być to jakieś fatum. Niezadowolony ze swojego życia też usprawiedliwiają się w ten sposób. Myślą, że takie po prostu jest już ich przeznaczenie i tak ma być. Ten tragizm – przeświadczenie o czyhającym gdzieś fatum – jest wspólnym punktem dla fado, tango oraz flamenco. Nie lubię tego fatalizmu ani w muzyce, ani na scenie! Może dlatego Madredeus od początku swojej działalności śpiewał o potrzebie marzenia i realizowania swoich pragnień. Świadomie bu-

dziliśmy te tęsknoty, przywołując w naszych utworach ducha odkrywców nowych lądów, opowieści o bohaterskich wyprawach morskich...

Życie bez marzeń jest uboższe?

Jest ciągłym narzekaniem. Jeśli nie na innych ludzi, to z całą pewnością na swój los. Dlatego trzeba mieć marzenia, tworzyć je i pielęgnować! Wiedzieliśmy, że jeśli nie będziemy walczyć o spełnienie naszych pragnień, to nigdy ich nie zrealizujemy. Będziemy niepokieszeni. Oczywiście, kiedy zaczynasz, masz wrazenie, że wszystko sprzyjało się przeciw tobie; że wszyscy ze sceptycyzmem patrzą na twój pomysł.

Tak było u początków waszego zespołu?

Nie do końca wierzyłem, że nasze marzenia mogą się spełnić. Wiele lat temu dałem do przesłuchania muzykę Madredeus pewnemu angielskiemu kompozytorowi. Powiedział wówczas, że to najlepsza muzyka, jaką kiedykolwiek słyszał i zaczął nam wróżyć międzynarodową karierę. Pomyślałem wtedy: „Człowieku, ty chyba jesteś szalony!”. Nie uwierzyłem w jego przepowiednię, byłem pełen sceptycyzmu i dystansu do tego, co powiedział. Ale te słowa stopniowo rodziły we mnie pragnienie, aby ta przepowiednia się spełniła. I tak się stało! W taki właśnie sposób, stopniowo, tworzy się inwencja. Odkrywasz, że w tym, co robisz jest coś, co chciałbyś kontynuować, w czym czułbyś się szczęśliwy. To takie stopniowe budowanie.

Wcześniej nie miałeś takich marzeń?

Nie miałem. Zdecydowałem się na tworzenie muzyki, pisanie tekstów, nagrywanie płyt, organizowanie życia zespołu, zajmowanie się jego finansami i wytyczanie tras koncertowych tylko dlatego, że innych zajęć po prostu nie lubiłem. (śmiej) Jako młody chłopak byłem często niepokieszony; niezadowolony z mojego życia studenckiego, sytuacji społecznej w Portugalii... Chciałem tworzyć coś nowego, coś, co byłoby inne od przeciętnej portugalskiej muzyki. Ale nie czułem, że jest to coś, czemu warto poświęcić swoje życie. Stopniowo jednak tworzyłem utwory dla Madredeus i w ten sposób zaczęło rodzić się zaangażowanie. Dzisiaj mogę powiedzieć, że o ile Madredeus nie jest moim powołaniem, to z pewnością jest to... hmm... mój wkład w życie społeczne! (śmiej) ■

rozmawiał Marcin Zatyka

23 stycznia br. na rynku pojawił się solowy album Teresy Salgueiro, wokalistki zespołu Madredeus. Na płycie zatytułowanej „Obrigado” piosenkarka śpiewa w duetach, m.in. z tenorem Jose Carrerasem, brazylijskim muzykiem Caetano Veloso oraz portugalską wokalistką jazzową Marią Joao. Wśród 14 utworów albumu znajdują się dwie kompozycje zespołu Madredeus.



Harlem Gospel Choir

Marcin Woźniak

Harlem Gospel Choir jest jednym z najbardziej znanych amerykańskich zespołów śpiewających na cześć Pana. Od 20 lat głoszą światu Dobrą Nowinę o Jezusie Chrystusie, śpiewając pełnym głosem, klaszcząc, niemalże tańcząc i wykrzykując słowa uwielbienia. We wszystkie zakątki Ziemi niosą posmak tego, co dzieje się w „czarnych Kościołach” Harlemu – żar modlitwy i miłości do Najwyższego. W grudniu 2005 ten żar, już po raz drugi, przynieśli Polsce, koncertując w kilkunastu miastach w całym kraju.

Bóg większy niż gwiazdy

Zespół powstał w połowie lat 80. w Harlemie – „czarnym getcie” Nowego Jorku. W jego skład weszli śpiewacy posługujący w Kościołach różnych wyznań – głównie baptystycznych, gdyż to baptysci właśnie prowadzą na obszarze Harlemu najszerzej zakrojoną działalność ewangelizacyjną. Drzwi do światowej kariery otworzył przed nimi Allen Bailey – znany manager i producent muzyczny, obecnie także jeden z dyrektorów sławnego nowojorskiego Cotton Clubu. Wcześniej pracował on z takimi gwiazdami jak Prince, Mr. T, Isaac Hayes, Michael Jackson czy Lionel Richie & The Commodores. Po wielu latach pracy z „wielkimi estrady” doszedł do wniosku, że Bóg jest o wiele lepszym szefem niż każda z tych gwiazd – zwłaszcza niż ta, która sama zachowywała się niczym bóg, nie pozwalając się do siebie zbliżyć i normalnie współpracować „twarzą w twarz”. *Byłem w trasie z jedną z gwiazd – wspomina Allen Bailey (nie wymienia wprawdzie nazwiska, lecz łatwo się domyśleć o, kim mowa). – o czwartej w nocy obudził mnie telefon i usłyszałem: 50 na 50! Zapytałem, o co chodzi – prze-*

ścieradła były w 50% z bawełny, a w 50% z poliestru! I wtedy postanowiłem wrócić do współpracy z Bogiem! Pierwszym oficjalnym koncertem Harlem Gospel Choir był występ z okazji urodzin Martina Luthera Kinga juniora w styczniu roku 1986.

Chór szczyli się tym, że skupia najsilniejsze i najpiękniejsze głosy Harlemu. W skład zespołu wchodzi łącznie czterdziestu śpiewaków – w wieku od 18 do 60 lat – i muzyków, którzy wyrosli w „czarnych Kościołach” Harlemu, a teraz zarabiają na życie grając i śpiewając gospel. Są profesjonalistami, choć nikt z nich nie pobierał lekcji śpiewu, ani nie uczęszczał do szkoły muzycznej. Śpiewać uczyli się w swoich wspólnotach chrześcijańskich – podczas nabożeństw i spotkań odbywających się w ciągu tygodnia. Ich repertuar jest bardzo bogaty – od tradycyjnych pieśni gospel i negro spirituals, poprzez jazz i blues, aż po klasykę muzyki pop. Nie boją się przy tym eksperymentować – „klasyczne” utwory w ich wykonaniu często brzmią bardzo świeżo i zupełnie inaczej niż jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Odważne aranżacje – zdarza się – wprawiają odbiorców w osłupienie.

Misjonarze Chrystusa

Nasze występy to duszpasterstwo – niesiemy Słowo Boże poprzez muzykę. Każde przedstawienie jest prawdziwym show gospel. Naszą publiczność doświadcza muzyki gospel takiej, jaka jest w czarnych Kościołach Harlemu – wyjaśnia Anna Bailey. Podobnie widzi to także jej mąż: Chór jest przede wszystkim duszpasterstwem. Zbieramy fundusze dla organizacji działającej na rzecz dzieci na całym świecie. Nie jesteśmy grupą rozrywkową. Jesteśmy misjonarzami Chrystusa. Jesteśmy organizacją non-profit – nasze dochody oddajemy na cele charytatywne. Wspomogli, jak dotąd, między innymi dzieci i rodziny ofiar zamachu z 11 września, sieroty z Afganistanu i najuboższe dzieci z dotkniętej nędzą Albanii. Mówią, że muzyka czyni cuda. Podczas każdego naszego koncertu takie cuda się zdarzają. Starzy i schorowani zaczynają tańczyć, smutni uśmiechać się... i wielu, wielu niewierzących powraca do Boga – mówi Anna Bailey.

Ich misja rozpoczyna się jednak w miejscu, z którego pochodzą – w Harlemie. Wspierają młodych Afroamerykanów, dając im możli-

wość realizowania się poprzez sztukę. Pracując z młodymi chronią ich przed wewnętrzną pustką, która mogłaby pchnąć ich w wir „życia ulicy” i gangów. Pracują na co dzień z dziesiątkami osób, spośród których najbardziej utalentowani co roku wyruszają w trasę. Są błogosławieństwem dla Harlemu. Poruszony ich działalnością Bono z U2 napisał o nich piosenkę „Angels in Harlem”. Miano to do nich mocno przyłgnęło i gdy przed kilkoma laty utworzono siostrzana zespół, nazwano go Angels in Harlem Gospel Choir.

Idą na cały świat

Harlem Gospel Choir posługuje na całym świecie. Gdziekolwiek dotrą, niosą ze sobą radość, którą „zarażają” swoich słuchaczy. Fotele na ich koncertach zasadniczo są zbędne. Publiczność bowiem nie potrafi usiedzieć – zrywa się, by skakać, klaskać, śpiewać i tańczyć razem z zespołem. Dzieje się tak niezależnie od tego, czy śpiewają w Stanach, w Korei, w Europie, czy w Australii. Jeśli mówi się, że muzyka gospel jest ogniem, to Harlem Gospel Choir jest wprost doskonałą zapalniczką! *Stawianie oporu jest bezcelowe!* – jak napisano w jednej z licznych recenzji. – *Nie jest nam łatwo opuszczać miejsce koncertu* – mówi Anna Bailey. – *Ludzie chcą, żeby śpiewać jeszcze i jeszcze. Nie wychodzą z sali, ciągle klaszczą. Często publiczność nakłania nas do powrotu. Raz się spóźniłymi na samolot, ale warto było zostać...*

Najlepsze czarne głosy Ameryki (Bono), **Ludzie Boga z Harlemu** (Amy Grant), **Chór wspaniały, najwycyżniej wspaniały** (Paddy Maloney z The Chieftains)... Na swoim koncie mają koncerty z najslawniejszymi gwiazdami estrady, jak wzmiankowane już U2, Diana Ross, Amy Grant, Whoopi Goldberg, Lyle Lovett, Harry Belafonte, The Chieftains czy The Dixie Hummingbirds. Śpiewają przede wszystkim dla zwykłych ludzi, ale także i dla „wielkich tego świata”. Dwukrotnie (w 1995 i 2003 roku) gościli w Watykanie, na zaproszenie papieża Jana Pawła II. Podczas prywatnej audycji, na której chórzyci zostali przyjęci w 2003 roku, zwrócił się do nich słowami: *Wasz chór jest błogosławieństwem*. „Anioły z Harlemu” śpiewały także dla Nelsona Mandeli, w ramach uroczystego koncertu na Yankee Stadium z okazji jego uwolnienia (1990 rok).

W roku 2003 Harlem Gospel Choir po raz pierwszy koncertował w Polsce. Anna Bailey chwali polską publiczność: *Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak uduchowieni i pełni entuzjazmu są Polacy. To jedna z naszych najlepszych publiczności*. Swoją pobyt w naszym kraju przed dwoma laty zespół uważa za jedną z najwspanialszych tras koncertowych w swojej historii. Tym chętniej powrócili do nas w roku 2005.

Zanurzeni w Bożej muzyce

Miniony rok był dla Polski bardzo szczególny ze względu na śmierć papieża Jana Pawła II. Bardzo szczególna była też trasa Harlem Gospel Choir – całe swoje tournée po naszym kraju czarnoskórzy artyści zadedykowali właśnie jemu. Pełne radości i miłości ku Bogu pieśni gospel rozbrzmiewały w tych dniach dosłownie w całej Polsce: Radom, Białystok, Warszawa (w Sali Kongresowej na zaproszenie HGC wraz z nimi wystąpił Mietek Szcześniak oraz... zespół Sisters), Bydgoszcz, Gdynia, Gdańsk, Szczecin, Poznań, Łódź, Wrocław, Chorzów, Lublin, Kielce, Rzeszów i Kraków. Niestety, za przyjemność ich wysłuchania trzeba było słono płacić – ceny biletów sięgały nawet 190 złotych! A mimo to, zainteresowanie było tak wielkie, że organizatorzy musieli pomyśleć o kilku dodatkowych koncertach.

Można się było obawiać, że przy tak komercyjnym nastawieniu – wobec faktu, że organizatorzy liczyli na zysk, nie mając na celu ewangelizacji – może być drętwo, że przy takiej cenie biletów przyjdą ludzie w garniturach i będą siedzieć cicho, zasłuchani, jak na muzyce klasycznej... Ale nie! Na koncertach było wielu ludzi, którzy przyszli tam nie po

to, aby słuchać, lecz by uczestniczyć (a to nie to samo!), by zanurzyć się głęboko w prawdziwie Bożej muzyce przywiezionej wprost ze „stolicy czarnej Ameryki”, by dać się porwać bystremu nurtowi gospel. „I believe I can fly”, „I know Man from Galilee”, „Amazing Grace” „O Happy Day” i inne utwory, pełne ognia i uniesienia, rozpałały zgromadzonych. „Zapalniczka z Harlemu” zadziałała bez zarzutu!

I tym razem fotele w salach koncertowych nie były potrzebne – publiczność i tak większość czasu stała... Stała? O, pomyłka! Niemal skakała i tańczyła, a sale wibrowały od rytmicznego klaskania. A gdy ktoś znał słowa, próbował nawet śpiewać razem z zespołem... Chórzyci zresztą do wspólnego śpiewu nie tylko zachęcali, ale zapraszali słuchaczy na estradę, by tam śpiewali razem z nimi. Można było się przekonać, że „śpiewać każdy może”, a czasem nawet, że „...nie każdy powinien”. Ale najważniejszy był entuzjazm słuchaczy – fakt, że ogień muzyki gospel zapłonął w ich sercach. Ledwie na kilka minut publiczność milkła i uspokajała się, gdy jedna z chórzystek śpiewała pieśń – modlitwę oddającą nią hołd zmarłemu Ojcu Świętemu.

Jak zawsze „show” przygotowany przez Harlem Gospel Choir był wspaniały. Może tylko szkoda, że zespół przyjechał do Polski w mocno okrojonym składzie. i może trochę brakowało jeszcze ubogającego słowa o dobroci Boga i potrzebie nawrócenia. Ale mimo to, były to cudowne wieczory i chciałoby się, aby trwały dłużej, o wiele dłużej. Wydaje się, że to, co nie zostało powiedziane i tak – z woli Boga – doszło do ludzi. Bo przecież muzyka gospel to nie tylko ogień, ale przede wszystkim posłanie Ewangelii. Bóg wygrał z komercją i odebrał chwałę podczas tych koncertów.

„Moja dusza latała!”

*To wspaniale, że Harlem Gospel Choir przyjechał, by posługiwać wśród nas. Ta muzyka porusza do głębi. Razem z innymi ludźmi bawiłem się i wielbiłem Pana. Nie brakowało chwil, gdy z moich oczu płynęły łzy – tak głęboko byłem poruszony. Takich wspaniałych koncertów potrzebujemy w naszym kraju więcej, bo prowadzą ludzi do Boga – mówi jeden z uczestników koncertu w Poznaniu. Relacje innych osób z całej Polski są bardzo zbliżone. *Poczułam się jak w najprawdziwszym czarnym Kościele, gdzieś w zaułku Harlemu, otoczona przez babcię w kolorowych sukienkach, które roztańczone śpiewają razem z charyzmatycznym pastorem. (...) Może nikt z obecnych nie przeżył duchowej nirwany, ale te dźwięki faktycznie i niezaprzeczalnie poruszają serca. Bo nawet sztywny pan w bereciku, obok którego stałam, na koniec miał się na uszytkie strony, jakby wokół niego szalał halny, a uśmiech nie schodził mu z twarzy. (...) Cały koncert trwał jakieś półtorej godziny i, muszę przyznać, że było to najlepsze półtorej godziny, jakie mi się ostatnio przytrafiło. Oni naprawdę kochają to, co robią! (...) Te dźwięki naprawdę działają na duszę!* (Magda M, www.wszczecinie.pl). *Moja dusza wczoraj latała!* (perla-ziemi, www.malymis.blox.pl). I o to właśnie chodzi, by duszę unosić ku Panu! Harlem Gospel Choir pokazał po raz kolejny, że jest prawdziwym mistrzem! ■*

Marcin Woźniak

Zdjęcia z archiwum Harlem Gospel Choir

Autor składa serdeczne podziękowania agencji Makroconcert (www.makroconcert.pl) za udostępnienie szerokiej informacji o zespole oraz umożliwienie uczestnictwa w koncercie w Poznaniu, dn. 12 XII 05.



Przewodnik po płycie

RADIKALA



Korzeń Z Kraju Melchizedeka

rozmowa z o. Fabianem Błaszkiwiczem SJ, czyli DJ Fabbsem z zespołu Korzeń Z Kraju Melchizedeka

Wystrzały, odgłosy wojny, bitwy – to pierwsze dźwięki na płycie. Tak zaczyna się pierwszy utwór, podobnie się kończy, choć po ostatnim wystrzale mamy zaczerpnąć jeszcze z tradycji staropolskiej hymn „Chrystus zmartwychwstał jest” zaśpiewamy również tradycyjnie – z pogłosem pustej świątyni. To kolejna walcząca płyta...

Suma płyta jest tylko orzeźem. Ten utwór nie jest potraktowany autonomicznie, tylko jako intro, choć de facto jest pełnometrażowym kawałkiem. Ma oddać klimat pozostałych, niejako wyjaśnić po co one są napisane. Ten utwór pokazuje dlaczego w ogóle taki głos zabieramy i że każda ścieżka na tej płycie jest orzeźem, które można wziąć do ręki. W walce nie przeciwko ludziom, lecz w walce ze ziemią, przeciwko „pierwiastkom duchowym zła”.

W utworze „Wszystko mi wolno” zwracacie uwagę na to, że słabość ludzka jest w jakimś sensie dopuszczalna. Łatwo jest powiedzieć, czego nie wolno i takim wyrażeniem zniechęcić do zmian...

Czasem jest tak, że jak się wchodzi w bitwę duchową to nawet w dobrej wierze łatwo jest popaść w moralizatorstwo. Również nam. Naprawdę łatwo jest wznieść okrzyk: „Uwolnić więźniów, rozzerwać kajdany zła” itd. Trzeba sobie samemu przypominać, że chrześcijaństwo jest drogą i świętość polega na tym, że ja rosnę, a niekoniecznie od razu przynoszę wszystkie spodziewane owoce. Niektórych nie przynoszę, bo na takim jestem akurat etapie. Wreszcie, że jest to walka, którą w nas, dla nas i o nas toczy Bóg. Nawet nasz upadek, nasza słabość może być wykorzystana przez Boga: „Moc bowiem w słabości się doskonali”, jak mówi św. Paweł. Dobra Nowina naprawdę uwalnia. My może nie od razu z całej dawanej nam wolności chcemy korzystać, ale Bóg jest cierpliwy.

Często mówi się, że przykazania są jak znaki drogowe, które ostrzegają przed przepaścią i trzeba skrócić, żeby się nie zabić. Ja to widzę inaczej. Przykazania są słowem Bożym. A Słowo jest Aniołem posłanym, żeby nam pomóc. Ono ma konkretną moc. Jak Bóg mówi: „Nie zabijaj”, to posyła mi jednocześnie moc, żebym był w stanie tym żyć i znalazł w tym radość. To tajemnica zamieszkującego w nas Ducha Świętego. Bo w inaczej co to za Dobra Nowina?

Poruszacie temat „wieczystej dzierżawy ziemi”. Mówicie: „Kochaj ziemię!”. Dbałość o świat przyrody nie wynika przecież z prostego obowiązku tylko właśnie z miłości do niej...

Pewien Mohikanin powiedział: „Ziemia, po której stąpasz nie jest dziedzictwem zostawionym przez twoich przodków, ale jest dzierżawą daną ci przez twoje dzieci.” To twoje dzieci wydzierżawiły ci tą ziemię. Najpierw, czysto po ludzku, my jesteśmy za tą ziemię odpowiedzialni, choćby dla następnych pokoleń. Natomiast Bóg daje nam ją na własność, ale na zasadzie dzierżawy. On jest nadal Panem tej rzeczywistości. I my jako dzierżawcy możemy w swobodzie postępować, ale nie tylko dla swojego dobra, lecz także dla jej dobra. Wreszcie w Liście do Rzymian, do którego też się odwołujemy, jest stwierdzenie, że „całe stworzenie jęczy i wzdycha oczekując objawienia się córek i synów Bożych”. Chwała Boża ujawnia się w całym stworzeniu...

A miłość do ziemi jest uwielbieniem Pana Boga...

A nie uwielbieniem ziemi! Tam jest: „Kochaj ziemię / kochaj siebie”. Przykazanie miłości: kochaj bliźniego jak siebie samego – oznacza też miłość do siebie, a to jest też miłość do ziemi.





Jest też na płycie ważny utwór poruszający poważny problem - problem narkotyków. Chodzi oczywiście o kawałek „Żadnych dragów”. Żadnych, czyli... żadnych...

Żyjemy w takiej kulturze, że albo tak, albo tak.

Jezus też mówi tak, tak, nie, nie. Nie ma kombinacji...

Dokładnie. Nawet sami rastamani przyznają, że choć mówią „tylko marihuana i żadnych twardej”, to jednak zdarza się często, że idą dalej. Ja wiem, że gandzia może mieć lecznicze działanie, tu można podyskutować, ale to nie jest tak, że trawa nie ma żadnego negatywnego wpływu. Sam się długo zajmując uzależnieniami widzę, że z uzależnienia chemicznego można człowieka wyciągnąć już nawet w trzy dni. Jednak problem polega na tym, że ścieżki neuronowe zmieniają się fizycznie w mózgu. Marihuana, ktoś powie, nie uzależnia chemicznie. Nie, ale to nie jest tak, że nie uzależnia w ogóle, że nie robi krzywdy. Zresztą nikt dziś u dilerów nie dostaje czystej trawy... To nie jest tak, jak wielu dzisiaj śpiewa, że gandzia OK, marihuana w porządku, ale żadna kokaína. Stąd to nasze „Żadnych dragów” się pojawiło. To jest obrona pewnych wartości. Jak żadnych dragów, to żadnych dragów i już.

Między hip-hopowe dźwięki wplatacie elementy tradycyjne: „Te Deum”, hymn „Chrystus zmartwychwstał jest...”. Cemu służy łączenie tego z hip-hopem?

Jest kilka takich piosenek w Kościele, które uważam za absolutny czad, takie uniwersalne, ponadczasowe hiciory. „Te Deum” do nich należy. Dla mnie, nawet jako niezupełnie świadomego dziecka, to był ulubiony kawałek. Podobnie jak „Anielski orszak niech twą duszę...”, ja dlatego zawsze na pogrzeby lubiłem chodzić (śmiech). Zawsze marzyłem i marzę nadal, aby ten kawałek zrobić na sposób hip-hopowo-metalowy... W każdym razie, to jest tylko przełożenie uzupełnione o współczesne brzmienie. Tak jak kiedyś wiele śpiewano na sposób gregoriański, a później dołączono organy, tak my teraz dokładamy trochę bitu hip-hopowego, skrecze itd. Ale istota jest ta sama: modlimy się. Jest to także skinienie głowy w stronę tradycji i tego czym Kościół się zawsze modlił.

„Schizotypik” to utwór „dla Jana Pawła II”, inspirowany słowami papieża. Śpiewacie go po polsku i... po niemiecku...

Śpiewamy o tym, co nas porusza, co nas rzeczywiście dotyka. I jedna z tych kwestii, którą

rozważał Baranek, a ja z nim, był drugi, twarz drugiego człowieka, w której się objawia Bóg. To rozważał również Wojtyła. A że Baranek studiuje filozofię w Monachium, po niemiecku, jemu to było łatwiej wyrazić właśnie w tym języku. Nie chodziło o Benedykta XVI, chociaż tak to zostało przez większość odebrane. Tam jest mowa o istocie godności człowieka, o tym, że nie można człowieka zabić, o tym skąd trzeba wyjść, żeby znieść nienawiść. I jeśli mówimy o takim wymiarze w tym kawałku, to on się odnosi bardziej do istnienia jakichś animozji między Niemcami a Polakami. Zwłaszcza Baranek to wyraźniej odczuwa.

Chyba najbardziej kontrowersyjny kawałek, choć może tylko pozornie: Gruzy Babilonu. Podobno mieliście sporo obiekcji przy tym utworze...

Tak... To znaczy ja nie miałem (śmiech). Ale obiekcje nie dotyczyły tekstu. Niektórzy myślą, że poszło o tekst, a poszło o formę, o muzykę. Z tym, że tak jak to teraz wygląda na płycie, to już jest mocno wygładzone. To miało być bardzo hardcore'owe. Po zaśpiewaniu tego kawałka przez trzy dni nie mogłem mówić! Wyszedłem ze studia na miękkich nogach i było „Siostrzo, tlen proszę!”... Dosłownie! Wszedłem do reżyserki, reżyser siedział i patrzył w sufit, a Baranek siedział i patrzył w podłogę. I na moje pytanie: „No i jak?”, nikt się nie odezwał ani słowem (śmiech). Dwa dni to wygładzaliśmy, podkładaliśmy chórki, megafony... To wszystko jest po to, żeby odciągnąć uwagę od mojego wokalu, który ponoć brzmiał tam przerażająco. Chodziło o formę, czy zamieszczać taki kawałek na tej płycie - undergroundowej, ale znowu nie tak drastycznej. Nie chodziło nigdy o tekst, on jest śmieszny, lekko podstępny, ale jednoznaczny.

„Lew na lwa”... Brzmi trochę jak Habakuk. A Habakuk to takie beztrzone stapanie po nieokreślonym do końca przesłaniu. Niby wszystko jasne, ale tak naprawdę, to nic nie jest jasne, taki New Age. Mówicie o sztandarze w trzech kolorach symbolizujących... wiarę, nadzieję i miłość. Wchodzicie w symbolikę rasta, ale nadajecie jej nowe - może pierwotne - znaczenia...

Mamy sporo symboliki rastafariańskiej. Tylko, że właśnie ta symbolika nie jest żadna rastafariańska, tylko biblijna. Rzeczywiście ten kawałek jest skierowany do ludzi rasta, z takim nie narzucającym się wyjaśnieniem, że jest lew i Lew, syjon i Syjon, babilon i Babilon... Jeżeli słyszę, że policjant to jest Babilończyk, bo zabiera dzieciakom trawę, a diler to człowiek Syjonu, bo ją sprzedaje, to jest to jakieś nieporozumienie. „Toczmy walkę nie przeciw krwi i ciału, lecz przeciw pierwiastkom duchowym zła” - mówimy w „Jahwe walczy”. Ja mam człowieka Babilonu uwolnić z kajdan Babilonu, a nie zabić czy nawet poniżyć! Prawdziwy Babilon to jest siła duchowa, to jest walka na wyżynach. Chcemy pewne rzeczy odkręcić. Lwem Syjońskim jest Jezus i nie żadnego innego, nie ma Hajle Selasje, czy Boba Marley'a, który, notabene, pod koniec życia się ochrzcił.

Najmocniejszy kawałek - „Radikala”. Proroczy tekst i podsumowanie całego krążka. Co ciekawe to też tytuł płyty...

Intro mówi o tym, że trwa walka. Płyta, jak już mówiliśmy, dotyka różnych tematów, czy to narkotyków, czy to walki społecznej. I można odnieść wrażenie, że jest to walka nie rozstrzygnięta. A tak nie jest. I my chcemy w tym utworze to powiedzieć. Ta walka jest już wygrana! Chrześcijaństwo jest pełne nadziei. Pomimo zła, które widzimy w sobie, zwycięstwo już nas czeka. I stąd odwołanie do Apokalipsy, która jest błędnie kojarzona z jakimiś strasznościami. Trzeba się cieszyć, bo zwycięstwo czeka u drzwi! A nasze zmaganie jest drogą ku niemu, jak Izaiasz śpiewa: „Na horyzontcie wojska”... Cała płyta taka jest: radykalna. Radix po łacinie to jest korzeń. Być radykalnym, to znaczy być zakorzenionym w Jezusie.

Amen!

rozmawiała: Weronika Gurdek, 11.02.2006, Nowy Sącz





J. JARCO

Jest czego słuchać

z Marzeną Grzymałą
rozmawia Patrycja Michońska-Dynek

Kiedy w zeszłym roku Marzena pojawiła się na przesłuchaniach Festiwalu Piosenki Chrześcijańskiej w Warszawie, nie było wątpliwości, że mamy do czynienia z osobą o wyjątkowym głosie. Wystarczyło jej kilka minut, by na scenie wytworzyć niezwykle nastroj. Dzisiaj Marzena Grzymała prezentuje płytę z pieśniami pasyjnymi „Bądź mi litościw”, która pomaga nam oderwać się od otaczającego świata i zagłębić w wielkopostną medytację.

Album „Bądź mi litościw” zawiera dwanaście pieśni pasyjnych i piosenkę „Aniołowie”. Całość była nagrywana w szczególnym dla nas wszystkich czasie – w kwietniu 2005, kiedy byliśmy świadkami odejścia Jana Pawła II.

I początkowo chciałam tę płytę zadedykować Papieżowi. Z chwilą, kiedy umarł, jakoś odeszłam od tego zamysłu, bo wszystko wtedy nawiązywało do jego osoby (nie mówiąc o tysiącach gadżetów), a ja nie chciałam wpisywać się w komercję. Stwierdziłam, że muszę odczekać, ale na pewno w przyszłości zadedykuję Papieżowi jedną z moich płyt.

Słuchając Twoich poprzednich płyt i koncertów, można zauważyć, że nie dotykają spraw wiary. Dlaczego w takim razie wzięłaś się za pieśni pasyjne?

Myszę, że to było trochę przypadkowe. Proboszcz mojej parafii św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej poprosił mnie o zaśpiewanie

kilku pieśni pasyjnych. Przygotowałam wtedy pięć utworów. Rok później ta prośba została ponowiona, więc przygotowałam następne. W ten sposób powstał program, który postanowiłam zarejestrować.

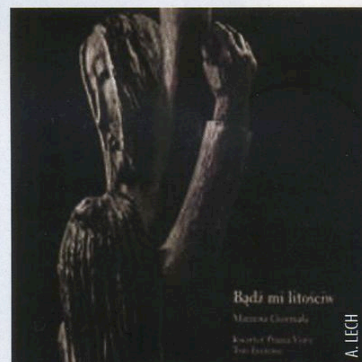
Śpiewasz pieśni, które wszyscy doskonale znamy. Jak interpretować je oryginalnie, na czym chyba każdemu artyście zależy, a jednocześnie nie urazić słuchaczy?

Trudno mi na to pytanie odpowiedzieć. Wydaje mi się, że nie do końca robię to świadomie. Ja po prostu śpiewam najlepiej jak potrafię... i na szczęście nie miałam jeszcze sygnałów, że te pieśni są jakies „udziwnione”.

Wybierasz najprostsze, naturalne wykonanie?

Tak, kieruję się intuicją. Staram się nie kombinować.

To twoja pierwsza religijna płyta...



Tak, ale myślę, że na tym nie poprzestane. Po jej wydaniu już zastanawiam się, czy nie nagrać drugiej części. Jest to przepiękna muzyka, charakteryzująca się prostotą linii melodycznej i to mnie ostatnio fascynuje.

Na płycie, oprócz pieśni pasyjnych, znajduje się także utwór „Aniołowie”. Różni się od pozostałych...

Bardzo chciałam umieścić go na tej płycie, ze względu na to, że zdobył pierwsze miejsce na zeszłorocznym Festiwalu Piosenki Chrześcijańskiej „Zostań z nami Panie”. Rzeczywiście, może trochę nie pasuje do pozostałych utworów, dlatego dodałam go jako „bonus track”. Opowiada o pięciu Aniołach; jest wśród nich Anioł Zmartwychwstania, więc mam nadzieję, że utwór uzupełnia pieśni pasyjne. Oprócz niego są też:

Anioł Zwiastowania, Bożego Narodzenia, Pocieszenia i Podkowiński. Ten utwór stał się już hymnem naszej parafii w Podkowie Leśnej.

Jakie są twoje korzenie muzyczne?

Jestem związana z muzyką jazzową. To był mój pierwszy zachwyt, który wciąż towarzyszy mojej twórczości. Chętnie grywam z muzykami jazzowymi. Moja najnowsza, pasyjna płyta też utrzymana jest w klimatach jazzowych. Z muzyką jestem związana od dziecka. Muszę przyznać, że to zasługa moich rodziców, którzy wysłali mnie do szkoły muzycznej – uczyłam się grać na skrzypcach. Kocham skrzypce i chciałam, żeby w pieśniach wielkopostnych zabrzmiały smyczki. Potem miałam bardzo długą przerwę w edukacji muzycznej. Śpiewałam w domu, z przyjaciółmi, przy ogniskach... Po przerwie wróciłam do mojej edukacji, ukończyłam Szkołę Muzyki Rozrywkowej i Jazzu im. Krzysztofa Komedy w klasie wokalu. Wtedy zaczęła się moja praktyka i twórczość – zaczęłam pisać własne piosenki. Nauka w szkole zaowocowała umiejętnością pisania nut, rozmawiania wspólnym językiem z muzykami i egzekwowania rzeczy dla mnie ważnych.

Lubisz swój głos?

Lubię... Zmienił mi się bardzo po nauce emisji głosu. Zawsze miałam krzykliwy, wysoki głos... Przez całe życie byłam sopranem, a tu okazało się, że mam fajne „doly” i powinnam rozwinąć się w tę stronę. Teraz śpiewam altem.

A chciałabyś być taką „topową” wokalistką?

Nie bardzo... Wolę być niszową – moja muzyka nie jest topowa, nie jest to popularny dzisiaj pop czy rock. Nie widzę siebie w takiej stylistyce. Wolę robić to, co lubię, kosztem tego, że jestem mniej znana. Nie chcę rezygnować z mojej stylistyki i ugiąć się, dopasowywać się do czegoś, co jest „trendy”.

Jazz na ogół jest kameralny.

Tak, i ja to lubię. Wystarcza mi nawet jeden słuchacz. Nie muszę być oklaskiwana przez tysiące ludzi. Śpiewam przecież też na moich imieninach, różnych uroczystościach rodzinnych i moi najbliżsi są dla mnie również ważnymi odbiorcami.

Twoja rodzina to mąż i trójka dzieci. Jak dzieciaki patrzą na mamę artystkę?

No... muszą znosić moje kaprysy. Cieszą się z moich sukcesów i może by chcieli, żebym była bardziej sławna, ale to zawsze dzieje się kosztem domu – im człowiek jest bardziej sławny, tym więcej czasu musi poświęcać, by być ciągle na rynku.

I tym mniej ma prywatności...

No właśnie – ja bardzo sobie cenię moją wolność i prywatność. Tego nie chciałabym zamienić na żaden sukces.

A propos wolności – kto wydaje twoje płyty?

Ja sama jestem producentem i wydawcą! Nikt inny nie decyduje o wyborze piosenek, o stylistyce, o okładce – a to są rzeczy dla mnie bardzo ważne. Cieszę się, że przy tej płycie mogłam zrobić wspaniałą okładkę, taką, jaką sobie wymarzyłam. Na mojej okładce są fotografie rzeźby Antoniego Rząsy „Chrystus i Magdalena”.

Na okładce płyty czytamy twoje słowa: „muzyka sakralna jest dla mnie szczególnym doświadczeniem, które prowadzi mnie do Bożej rzeczywistości, do sfery sacrum”. Czym więc jest: modlitwa? medytacja...?

Jest to przede wszystkim modlitwa, która prowadzi do medytacji, do wyciszenia. Kiedy zaczęłam nagrywać te pieśni, musiałam bardzo skupić się nad tekstami – o czym one są? Bardzo przybliżyły mi temat cierpienia. Miałam okazję poczuć je bliżej. Musiałam przekazać ten tekst najszczerzej – musiałam pomyśleć, zrozumieć, poczuć to, co śpiewam. Nagranie tych pieśni było dla mnie samo w sobie głębokim przeżyciem religijnym.

Na koniec powiedz coś o muzykach, których słyszysz na płycie.

W nagraniu wzięli udział Kwartet Smyczkowy Prima Vista, Trio Jazzowe oraz gościnnie na flecie pan Ryszard Borowski, który zrobił aranże smyczkowe. Kwartet Prima Vista to byli muzycy orkiestry Symfonia Varsovia, którzy parę lat temu postanowili działać na własną rękę i robią to z wielkimi sukcesami. Manager i II skrzypce kwartetu, pan Józef Kolinek, mieszka po sąsiedzku, więc drogę do niego miałam krótką. Mocno mnie motywował, żeby nagrywać ze smyczkami, bo choć bardzo chciałam, miałam obawy, czy uda mi się spiąć wszystko organizacyjnie. Trio jazzowe to Marcin Zalewski grający na instrumentach klawiszowych, Piotrek Filipowicz na kontrabasie i Łukasz Dmochewicz na perkusji. O ile z Marcinem śpiewam stale, to z Piotrkim i Łukaszem spotkałam się przy okazji tych nagrań w studio i od tego czasu udało nam się zagrać parę razy wspólnie. Potwierdziły się moje obawy, czy uda się umówić wszystkich w jednym czasie, bo nagrywaliśmy na setkę, ale wyszłam z tego obronną ręką, poznając nowych, dobrych muzyków. Chciałabym wrócić jeszcze do wspomnianego już Rysia Borowskiego, którego uważam za dobrego ducha tej płyty i który puścił całą maszynę w ruch, za co mu jestem wdzięczna. Otóż pewnego dnia, a było to dzień czy dwa przed wigilią, zadzwonił do mnie i powiedział, że jeśli tak bardzo chcę nagrywać te pieśni, to on mi napisze aranże w prezencie, żeby (jak to pięknie określił)... coś się zadziało... No i zadziało się. Jest płyta i jest czego słuchać. ■

rozmawiała
Patrycja Michońska-Dyneck



FRONDA NR 38

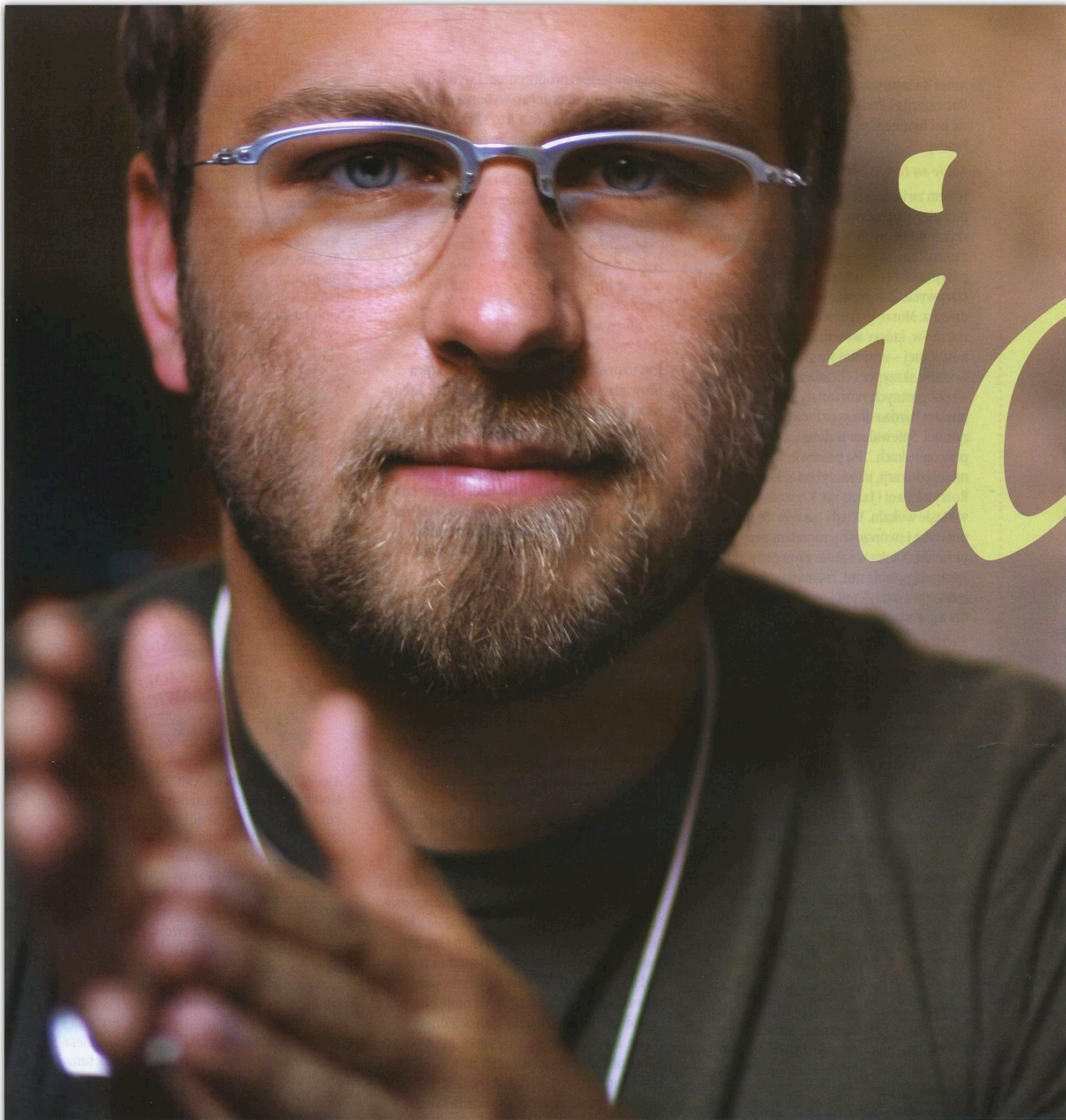
Fronda 2006

Myliliby się, kto okładkę najświeższego, 38 numeru Frondy uznałby za obraźliwą lub wpisującą się w ciąg religijnych obelg (vide Madonna Cicione jako Dziewica Maryja). Unoszący się nad wstęgą z tytułem barokowy aniołek wykonuje znany wszystkim gest Kozakiewicza, tym samym dowcipnie, choć na granicy prowokacji puentując przewodni temat najnowszego numeru. Cukierkowe róż i błękit dopełniają całości. Frondziarze, jak zwykle w sposób przekorny, starają się wytrącić z równowagi, poruszyć, zaintrygować.



Ale każdy ma prawo odbierać to jak chce. Moim zdaniem powinni dostać okładowego Pulitzera. No, ale w środku jest jeszcze lepiej. Opus magnum numeru, 44 (!) stronicowa rozprawka Rafała Tichego, na temat cypriańskiej tezy „extra Ecclesiam salus non est”, sąsiaduje z pytaniem, poza którym właściwie kościołem zbawienia nie ma? Na takie postawienie pytania mogą sobie pozwolić ludzie pewni swego zaczeplenia w jedynie słusznej opcji albo poszukiwacze guza. To samo pytanie, zadane wielu osobom z kręgów kościelnych, jak i zpoza nich, prowadzi nas (to już lekkie przegięcie) do ankiety – sprawdź, czy jesteś 100% katolikiem. Wyniki tejsze są prześmieszne (choć pewnie nie dla wszystkich), tak samo jak oparty na doniesieniach prasowych tekst pt. „Kwaśniewski kardynałem?”. Muzyczne koneksje wyczerpuje tekst Horodniczego o zespole Laibach. Warto zwrócić uwagę na wywiady z chilijskim filozofem Victorem Fairas i hiszpańskim historykiem Pio Moa, bo rzucają trochę światła na fakty współczesnej historii, które, delikatnie mówiąc, możemy znać w innym ujęciu. Obowiązkowo należy przeczytać teksty Bończy-Tomaszewskiego o Orianie Fallaci i wywiad Tokiego z byłą wyznawczynią homeopatii. To nie wszystkie teksty oczywiście. Wymieniłem tylko te, które na mnie zrobiły największe wrażenie. Całość ma ponad trzysta stron, a ja lyknałam ją w niecały tydzień, na dokładkę odkładając na bok lekturę Dębskiego.

Grzegorz Wacław a. k. a. dziaki



Jak nazywa się twoja nowa płyta?
„Zapominam siebie”.

I łatwo jest zapominać siebie po paru latach wyłączenia na scenę? Grasz, śpiewasz, ludzie chwalać cię, biją brawo...

Wyjście na scenę zdarza się czasami. Częściej lub rzadziej. A życie trwa 24 godziny na dobę. Śpiewam już długo i dlatego temat zmagania się ze sceną i świadomości tego, że ktoś na mnie patrzy i bije brawo odchodzi w cień.

A jak długo śpiewasz?

Od 1997 roku.

Gdy wychodziłeś na scenę przed dziewięć laty, tryskałeś energią. Otwierałeś Pismo Święte, opowiadałeś z błyskiem w oku o Jezusie. A dziś? Nie jesteś znudzony? Łatwo jest powracać do tej pierwotnej miłości?

Wiesz, ja od pewnego czasu czuję wyraźnie, że przechodzę jakąś drogę. Czy łatwo jest opowiadać o Jezusie? Nie. Myślę, że jest to o tyle trudniejsze, że przez te kilka lat wiele się wydarzyło, zobaczyłem swoje grzechy, słabości. Ale dziękuję Bogu, że od pewnego czasu mamy z ludźmi głęboką świadomość tego, że

jest COŚ poza sceną. Wyjście na scenę jest jedynie owocem, rezultatem. Pamiętam świetnie słowa Norwida: *„Jak się nie nudzić na scenie tak malej, tak niemistrzowsko zrobionej”*. Często powtarzał je Czesław Niemen...

Nie boisz się, że po tylu latach grania staniesz się jakimś guru od modlitwy? Specjalista, liderem uwielbienia?

Nie boję się. Bo ja z dnia na dzień czuję mocniej, że coraz mniej potrafię. Kilka dni temu rozmawiałem z moim menadżerem i powiedziałem mu wprost: ja nie chcę być żadnym liderem uwielbienia. Jestem człowiekiem, który



z **Mate.O**
rozmawia
Marcin Jakimowicz

ma swoją drogę, zмага się. I dzięki Bogu znajduje środki wyrazu, by dzielić się tą drogą z innymi. Nie czuję się żadnym ekspertem. Mam rodzinę, żonę, pracę do wykonania, dzieci do przewinięcia, rachunki do zapłacenia. A scena jest tylko od czasu do czasu. Już nie szukam inspiracji u kogoś, nie szukam wzorców czy modeli zachowań, choć widzę na co dzień (również na scenie muzyki chrześcijańskiej), jak łatwo jest dziś kopiować jakąś duchowość. Człowiek stylizuje się na kogoś, kopiuje... Wiem, że mam swoją niepowtarzalną drogę, czuję na karku taki normalny kontekst życia. W zespole staramy się żyć jak wspólnota i inspirować się do

prawdziwej drogi z Chrystusem. By nie wpuścić się w jakiś głupi kanał idolatrii.

Masz doświadczenie, że im bardziej jesteś bezradny, tym mocniej działa Pan Bóg?

Bardzo często doświadczam słabości. Przyjeżdżamy na koncert słabi, skalani grzechem. Koncert jest okazją do tego, by o coś walczyć. W modlitwie. A jeśli brakuje słów, to grać na ten temat. Nie czuję się piosenkarzem. A moja bezradność bierze się często z tego, że na scenie wyrażam to, co tak naprawdę jest niewyrażalne. Dlatego często słowa umykają. Wtedy muzykujemy, improwizujemy.

To właśnie zachwyliło mnie najbardziej w nowych piosenkach. Sporo oddechu, jazowe improwizacje. Modlicie się samymi dźwiękami?

Tak, choć jest tu spore niebezpieczeństwo. Robert Cudzych, gitarzysta New Life M., powiedział mi kiedyś: **nie chce modlić się do groove'u**. Nie chodzi o to, by nagle modlić się szukając jakiejś solówki typu Coltrane. Chodzi zawsze o osobę, o Jezusa. To On jest w centrum, nie dźwięki. Dlatego w nowych piosenkach mocno widać jedno: jestem człowiekiem w drodze. Idę. Ale mam świadomość, że należę do Kogoś, kto jest samym Bogiem! Nie chcę się skupiać na sobie. Inspiracją jest dla mnie to, kim On jest. To zmienia perspektywę. To już nie jest perspektywa długości mojego nosa. On - wszechmogący Bóg i Pan ciągle ją poszerza. Żyję w rzeczywistości, która mnie przerasta.

Byłeś dotąd postrzegany jako bardzo energiczny facet. Łatwo było ci się wyciszyć?

To jest łaska. Często związana z doświadczeniami, z cierpieniem, z utratą bliskich. Z narodzinami dzieci. To wycisza. I pokazuje jedno: bardzo potrzebuję Boga. Już nie ma żadnych metod, nie ma pomysłów, że nagle człowiek wyjdzie i będzie śpiewał Alleluja...

... i do przodu. Jest „Alleluja i do tyłu”?

Tak (*śmiech*). Ostatnio chodzi za mną nieustannie Psalm 119. Najdłuższy psalm, którego nigdy nie potrafiłem przejść. Teraz do niego wracam. Czytam rozważania Dietricha Bonhoeffera. Piszę on, że jest różnica w tym, czym są westchnienia naszego serca i bełkot naszych własnych myśli, a modlitwą, którą Bóg chciałby usłyszeć z ust swoich dzieci. Dlatego sięgam po psalmy. Są to przeciwieństwo modlitwy, którymi modlił się sam Chrystus. Są blisko rzeczywistości człowieka i opisują ją wyczerpująco, a jednocześnie rysują obraz i charakter Boga.

Odnajdujesz się w nich? Gdy czytasz „Z głębokości wołam do Ciebie Boże”, to wołał ty czy król Dawid?

Uczę się. Modlę się. Panie, pomóż, by ten psalm stał się moją modlitwą. Widzisz, Panie, że moje serce często nawet nie chce się tak modlić, ale wiem, że to jest dobre, bo to się Tobie podoba. Psalm 119: Dawid opisuje bolesną, realną rzeczywistość, ale nie rozczuła się nad nią. Mówi: jest, jak jest, ale ja wbrew temu, co widzę, będę ufał Tobie. Bo umiłowalem ponad wszystko

to, co Ty powiedziałaś, a Twoje przykazania są dla mnie słodsze niż wszystko inne. Uczę się takiej logiki królestwa niebieskiego. Uczę się logiki odhumanizowanej. Jeśli coś nie zgadza się z moim pomysłem na życie, nie tupię nogami. Bóg wie lepiej. Pytam: dlaczego moja droga jest taka? Czego chcesz mnie nauczyć?

Czy teraz wasze koncerty się zmieniają? Wycisza? Nowe piosenki idealnie pasują do małych klubów, knajp. Będziecie je grali na dużych festiwalach?

Powiem ci, że te piosenki są często nieprzewidywalne. Gramy je od dwóch lat. W naszym akustycznym zespole sporo eksperymentowaliśmy. Koncerty są naprawdę nieprzewidywalne, jednorazowe, „energetyczne”. Bardzo dużo ekspresji. Czasem przychodzi jakiś dźwięk, słowo, inspiracja, a ty zaczynasz iść w tym kierunku. I taka piosenka może się przekształcić nawet w jakąś manifestację albo dziękczynienie. Ale nie wszystkie piosenki na płycie są takie stonowane. Są też szybkie, radosne, wskazujące, że idzie wiosna. (*śmiech*)

Mam nadzieję (spoglądam na zasypiany świat za oknem). Czy łatwo jest żyć z żoną-muzykiem? Natalia jako wokalistka przeszkadza ci czy pomaga?

Pomaga, zdecydowanie pomaga. Szczególnie teraz, gdy będąc mamą dwóch chłopaków i odpoczywając od śpiewania, ma dystans do muzykowania. Jest bardzo krytyczna wobec tego, co robię. Nie negatywnie. Ona potrafi świetnie ocenić pewne rzeczy. Przy nagrywaniu płyty musiałem przetrwać kilka jej uwag.

Czy nie jest rozgoryczona? Została mamą, poświęciła swą największą pasję – śpiewanie.

Nie jest rozgoryczona. Poświęciła się całkowicie chłopcom. To jej pasja. Ale wiem, że jest artystką, i nawet jeśli tego głośno nie mówi, tęskni do śpiewania. Ale nie ma w tym żadnej hysterii.

A ty nie jesteś rozdarty między sceną a domem? Teraz masz już do kogo wracać.

Jestem rozdarty tylko w tym sensie, że są to dwie kompletnie różne rzeczywistości. Ciągnie mnie scena, granie koncertów, życie w drodze, spotkanie ludzi, dzielenie się z nimi. To jest fascynujące. Ale wracając do domu, wracam do prawdziwej rzeczywistości. Tu jestem tym, kim powinienem być: mężem i ojcem. Ale i odwrotnie: dom, żona, dzieci wpłynęły na to, że powstały takie a nie inne piosenki.

Czy Pan Bóg potrzebuje wielkich koncertów, światła, telebimów?

Czuję jedno: to ja potrzebuję Pana Boga. A koncert, światła są tylko odpowiedzią na tę moją tęsknotę. Kiedyś starałem się być bardzo intermedialny, współczesny w przekazie. I myślę, że choć to jest bardzo ważne, nie jest istotą koncertów. To tylko narzędzia. On jest najważniejszy. Reszta jest tylko komentarzem, nieudolną opowieścią o tej miłości. Akcje są tylko akcjami. A Pan szuka ludzi, którzy Kochają Go ponad wszystko. ■

rozmawiał Marcin Jakimowicz



dusza się sama rysuje...

z Janem Malikiem
rozmawia Beata Menceł

Jak powstają Pana rzeźby?

Nie posiadam pracowni, specjalne warunki nie są wymagane. Rzeźby powstają wszędzie, w każdej chwili, w biegu. Potrzebne jest światło, dobry wzrok i małe, ładny, twarde i stary patyczek.

Rzeźbi Pan od dziecka?

Mój dziadek Walenty był pionierem, jednym z pierwszych szopkarzy krakowskich. Tata sprzedął wielką szopkę, jaka pozostała po dziadku, do warszawskiego teatru „Lalka” i kupił nam pianino. Minęło kilka lat i ojciec postanowił zrobić sam szopkę. Dla nas to, oznaczało obowiązkowy kontakt z drewnem, szczególnie lipowym. Tata mówił: „masz tu klocek i głowę mi tu zrób”. Kiedyś nie szukano w dzieciach talentów, dzieciak robił to co rodzic. Zaczynało się najpierw od twarzy, postacie były proste, smukłe, fałdy na sukni były nie do pojęcia. Pragnienie tworzenia było zdecydowanie większe od talentu i umiejętności. W szkole nie lubiłem się uczyć. Podczas lekcji pod pulpitem miałem półeczki i tam rozkładałem swój warsztat. Ponieważ w domu mama kazała się uczyć i zabraniała „bawić się” w struganie, posiadałem niesamowitą umiejętność maskowania się. Pod szkolną ławką wykonywałem nie tylko postacie do szopek, ale i np. modele odrzutowców. Ta

nabyta wówczas tendencja do ukrywania się pozostała we mnie do dziś.

To dlatego Pana rzeźby są takie miniaturowe, czasem zaledwie kilkucentymetrowe?

Tak. Miniaturowy świat leżał w zasięgu dłoni i można go było zawsze łatwo schować.

W dziele człowieka widać jego duszę. Co widać w Pana pracach?

Poczucie daru i winy. Strata czasu była najgorszą rzeczą, można było ścierać po łbie dostać. Żle się uczyłem, ale przynajmniej coś robiłem. Dlatego mama tolerowała, że coś dłubię. Jeśli od dzieciństwa ma się wpojone poczucie winy, tak niemiłe widziane przez psychologię współczesną, to z innej perspektywy patrzy się na to, co się otrzymuje. Człowiek otrzymuje dar, a wina powstaje jako poczucie niewykorzystania tego daru. To jest jak wdech i wydech. Otrzymujemy miłość, wychodzi z nas grzech. Dzisiaj świat nie przyznaje się do grzechu, promuje osobę jako bohatera wydarzenia. Jeżeli chelpimy się darem, że jest nasz, to jesteśmy złodziejami, wtedy promocja przewyższa dzieło. Ja czuję się robotnikiem, rzemieślnikiem, a nie twórcą. Bardzo bliska jest mi epoka średniowiecza, nauczyła mnie pokory poprzez swoje rozumienie rzemiosła, pracy służebnej. Jeden malował, inny złocił...

My kojarzymy talent zwykle z artystycznymi dziedzinami. Czasem ktoś zajmuje się pracą artystyczną, bo nic innego nie potrafi, ale przecież można też być artystą od pieczenia chleba czy pięknego układania bruku na ulicy. Artyzmem jest po prostu robić coś znakomicie, nawet powyżej swoich możliwości. A dusza się sama rysuje, nie trzeba się o to starać. Nasza charakterystyczna mentalność wywołuje zapotrzebowanie na określoną estetykę.

Skąd w Pana twórczości tak silne zakorzenienie w ludowości?

Ludowość najbliższej koresponduje z posłannictwem mesjańskim wcielenia Syna Bożego. Ludowość to kwiaty polne, a profesja, czyli udział rąk człowieka, intelektu – to kwiaty ogrodowe. Ludowość jest ponad warszatem, w niej pasja i miłość przewyższają umiejętności, jak u dziecka, które zachwyca się czymś, chce to wyrazić i robi to bardzo osobiście, w niepowtarzalny sposób.

Z dzieciństwa nie zapomnę, jak na wzgórzach w Koniuszy – rodzinnej wiosce mojej mamy, po straszliwej burzy, wiejskie, bose dzieci krzyczały z niesamowitą radością „góry widać, góry widać”. Bodaj jedyny raz w życiu byłem świadkiem tak wielkiego entuzjazmu i ogromnej radości. Rzeczywiście przed zachodem

słońca w niesamowitej czerwonej lunie widać było niekończące się góry. Góra za górą, a na samym końcu koronka. Nie wiedziałem wtedy, co to jest, a to były Tatry. Myślałem, że zwiariuję na widok takiego cudu. Wpadłem w obsesję i po zeszytach, książkach, wszędzie gdzie popadło, rysowałem te cudowne góry. Zachwycenie jest początkiem tworzenia. Piękno natury jest wielką mocą i siłą, pobudza pasję. Nie lubię słowa „inspiracja” (tak samo jak nie używam wyrazu „pejzaż”), wolę słowo „zachwyt”.

Oprócz gór, co Pana jeszcze zachwyca?

Na przykład zachwycają mnie liście. Moje świątki nie nadają się do postawienia na stole, one są zawsze zawieszane w przestrzeni. Na dole obtoczone są kwieciami, jakimiś motywami, symbolami. Są zawieszane pomiędzy niebem a ziemią. Nie ma w nich pierwszego czy drugiego głosu, jak w muzyce, są syntezą wielu elementów, symboli. Opowiadają coś w całości, ponieważ jestem przeciwnikiem wszelkich hierarchii, rywalizacji. Nie ma nigdy kolejności, rywalizacji między kwiatami. Oczywiście różnią się tak jak ludzie, którzy je zbierają. Ludzie podświadomie sięgają po takie kwiaty, które wyrażają ich psychikę. Np. stokrotka to emanacja tryskającej radości, róża - to namiętność i miłość, lilia - niewinność, oset - to ból i ogień. Ale niezależnie od rodzaju, każdy kwiat, każdy liść jest piękny. Tak jak człowiek. A jeśli już mówić o rywalizacji, to powinna ona dotyczyć wnętrza, duszy. Walczymy wtedy z grzechem, nie z drugim człowiekiem. Uważam, że jest to dar od Pana Boga, iż nie muszę się z nikim porównywać. Jestem wolnym człowiekiem...

Zajmuje Pana nie tylko wizualna sztuka. Do rzeźb powstają wiersze, a potem muzyka...

Pisanie przyszło dzięki mojej dwunastolet-

niej przyjaźni z Jerzym Harasymowiczem. Dzień w dzień był w moim domu. On pisał, a ja obwoziłem go po Beskidzie Niskim, po Łemkowszczyźnie, po cerkwiach. Jerzy namówił mnie, żebym zrobił ilustracje do jego cyklu „Madonny Polskie”. Ale choć ta nazwa sugeruje pierwiastek religijny, Harasymowicz bardzo po świecku podchodził do tematu, uważał się za agnostyka. Więc odmówił, kiedy poprosiłem, żeby napisał wiersze do moich rzeźb. Powiedział: „ty sam sobie napiszesz”. I tak zacząłem pisać, a on poprawiał. Kreślił bezlitośnie, długo to trwało, z czasem tych poprawek było coraz mniej, aż w końcu całkiem ustały. A pieśń przychodziła sama. Tak jak deszcz, który spada na ziemię, układa kształty rzek i potoczków. Intuicyjnie używałem instrumentów szukając brzmień i harmonii. Mikrofon to też przedłużenie instrumentu. Pogłos, otoczenie, świątynia, sklepienia, góry, hale, nastrój, to też instrumenty.

W tej syntezie sztuki, jakie miejsce zajmuje muzyka? Z wykształcenia jest Pan przecież muzykiem, pracuje Pan jako skrzypek w orkiestrze...

Rzeźba jest jak kregosłup, z twardego drzewa, wytwarza hart, wytrzymałość, odporność. Pisanie to dusza, tu występuje kolor, odczucia, przeżycia, intymność. Natomiast muzyka to serce, które zwiędza i jedno i drugie. W domu holdowano muzyce. Ja wolałbym raczej oczu nie mieć niż słuch stracić. Świat dźwięków bardzo wyrzył się na mojej psychice i przez lata był skrywany, bo było to zjawisko raczej wstydlive. Dźwięki mnie wzruszają i działają na mnie z nieprawdopodobną siłą, choćby takie zawodzące brzęczenie pszczoł. Dlatego słucham muzyki, gdzie jest dużo tremolowych impresji kolorystycznych. Nie jest dla mnie ważny prosty temat, wolę tło. Mistrzostwo jest w kontrapunkcie, w harmo-



B. MENDEL

onii. Świat lubi głośność, ja uwielbiam słuchać ciszy, wsłuchiwać się w ruch trawy, w spadanie deszczu. Wszystko brzmi. Gajowy wie, pod jakim drzewem leży. Każda gałązka inaczej brzmi, jak wiatr o nią potrąca. Inny szum ma jałowiec, inny buk... To zrozumienie wzrasta w miarę obcowania z przyrodą. Na granicy ciszy dzieją się niezwykle rzeczy.

Jakie jest przesłanie Pana twórczości?

Ona jest po to, by podnosiła człowieka. Chciałbym pokazać, że jest coś więcej niż świat, który poniża człowieka. Nieszczęście może przemienić się w coś pięknego. Ważna jest perspektywa, do czego to wszystko zmierza. Jeśli dramat jest pokazywany bez perspektywy, to nie ma to sensu, nie jest to chrześcijańskie spojrzenie. Bliskie jest mi posłanie uwielbionego Chrystusa, który cierpiał, ale powstał z bólu do życia. Po ostatnim koncercie przyszła do mnie kobieta, której niedawno zmarł mąż. Powiedziała, że przez godzinę czuła się jak w niebie, jakby była na tamtym świecie. Mnie też kształtuje ta praca. Umrę i nie będę odpowiadał za to, co wyrzeźbiłem, ale za to, jak się wykształciłem przy tej pracy. ■

rozmawiała Beata Mencil



Zdjęcia prac: Jan Malik

Gdyby krzyż nie

O muzycznej Drodze Krzyżowej
z Cezarym
Paciorkiem

rozmawia o. Andrzej Bujnowski OP



K. JAWORSKI

Czarku! Chyba po raz pierwszy stanąłeś przed takim wyzwaniem jak skomponowanie muzyki do Drogi Krzyżowej. Przyznaj, nietatwe zadanie. Kto podsunął ci ten projekt i jak zrodził się pomysł na formę muzyczną, którą zastosowałeś?

Na wzgórzach wejherowskiej Kalwarii (ok. 40 km na północny



K. JAWORSKI

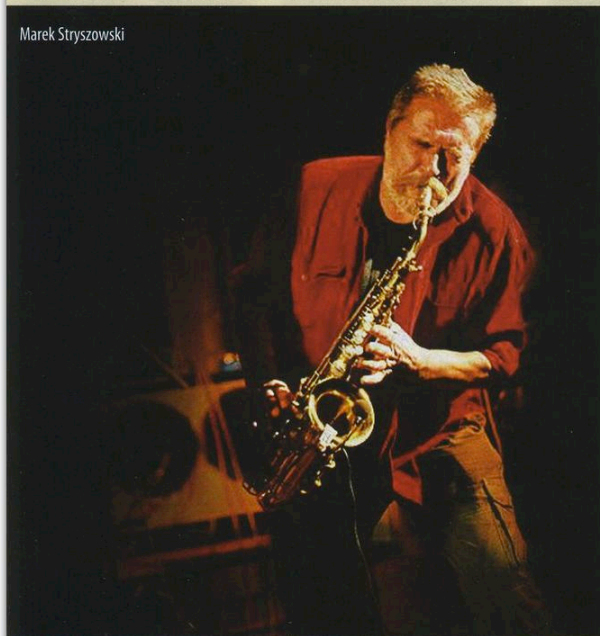
zachód od Gdańska) od 2002 roku odgrywane jest misterium, które ma wspomagać rozważanie męki, śmierci i zmartwychwstania Jezusa. W tym parateatralnym przedsięwzięciu bierze udział około 40 aktorów oraz liczni pątnicy. Na czele Misterników Kaszubskich stoi Wojtek Robakowski – pomysłodawca projektu, w którym muzyka także ma służyć temu nabożeństwu. Musi więc być prosta, surowa i poruszająca. Przyznaj, że nietatwe to zadanie, ale chyba pomogła mi szczerość. Nie chciałem udawać czegokolwiek. Nie chciałem też popisywać się czymkolwiek. Bardzo pomógł mi też tekst, który niejako dyktował pomysły muzyczne.

Rozważaniem stacji Drogi Krzyżowej towarzyszą najczęściej w Kościele smutek, powaga, refleksyjny klimat. Ty burzysz tę zasadę. Twoja Droga Krzyżowa jest pełna życia, dynamizmu, ekspresji. Ekspresjonizm muzyczny – to chyba właściwe słowo na określenie jej formy...

Nie chciałem burzyć powagi, ale od początku było dla mnie oczywiste, że ta muzyka musi być ekspresyjna. Zauważmy, że ludzie Biblii są dynamiczni, znany ich emocje, oni uczestniczyli w tych wydarzeniach na 100%, życie Jezusa było ich życiem. Wydaje mi się, że dziś grozi nam odsunięcie prawd wiary do skansenu. A przecież wobec prawdziwego cierpienia nie można zostać obojętnym. Jeśli krzyż nie wzbudza w nas emocji, to znaczy, że nam spowszedniał. Krzyż oznacza ból. Gdy mój 2-letni syn płacze, bo coś go boli,

„Droga Krzyżowa” Małych Egoistów

Marek Stryszowski



P. ŻUK

Wielu wybitnych kompozytorów podejmowało temat Misterium Męki Pańskiej, czy to w oparciu o zapis ewangeliczny, czy też na podstawie innych źródeł. Nie było jednak do niedawna muzycznych ilustracji Drogi Krzyżowej. Ten temat był niemal od początków artystycznej działalności **Marka Stryszowskiego** jego marzeniem kompozytorskim. Nosił się z tym zamiarem przez lata i pomysł powoli dojrzewał. Bezpośrednią inspiracją do powstania dzieła były wiersze ks. Jana Twardowskiego. Czternaście stacji Drogi Krzyżowej w tej rozumianej przez każdego, prostej, a zarazem pełnej niesłychanej głębi filozoficznej poezji, znalazło swoje odzwierciedlenie w ilustracjach muzycznych kompozytorów Cezarego Chmiela i Marka Stryszowskiego. Powstała zatem płyta „Droga Krzyżowa – muzyczne obrazy i impresje”.

Premiera misterium odbyła się w 2001 roku w kaplicy św. Kingi w wielkiej kopalni soli. Od tego czasu zaprezentowano wiele spektakli w kraju i za granicą, głównie w okresie wielkopostnym. Misterium przedstawiano nie tylko na salach koncertowych, ale i w bazylikach i kościołach. W 2001 roku na specjalne zaproszenie organizatorów pielgrzymki Ojca Świętego Jana Pawła II na Ukrainę spektakl Drogi Krzyżowej zaprezentowano w kijowskim kościele, trzy lata później w Londynie, w kościele w Balham oraz legendarnym klubie jazzowym Ronniego Scotta. W ubiegłym roku miała miejsce hiszpańska premiera misterium w pałacu królewskim w Sewilli, z udziałem aktora polskiego pochodzenia Jarosława Bielskiego. Wiersze ks. Twardowskiego w hiszpańskim tłumaczeniu wywierały na publiczności takie samo wrażenie, jak w innych miejscach prezentacji. Droga Krzyżowa w wykonaniu **Little Egoists** znana jest także publiczności amerykańskiej, nie tylko ze środowisk polonijnych.

wzbudzał emocji..

to ja drzę. Gdy mój Pan umiera w mękach, ja mam patrzeć spokojnie? Ta muzyka ma być prawdziwa, a nie konwencjonalna. Poza tym pierwotnie była skierowana do młodzieży, a młodzież nie nabiera się na sentymentalizmy.

Twojej wizji Drogi Krzyżowej towarzyszy mocny akcent ludowej muzyki bałkańskiej. Twój akordeon przypomina muzykę, którą słyszałem w Czarnogórze i w Macedonii. Skąd takie inspiracje?

Wszystkiemu winna globalizacja. Już nawet nie kontroluję wpływów, którym ulegam. Różne style wchodzą do skarbcza, z którego korzystam poszukując dobrych pomysłów. Akordeon bardzo dobrze brzmi w rytmizowanej fakturze. Bałkańskie zwroty nadają jej trochę orientalny posmak.

Droga posiada wspaniały tekst, napisany współcześnie. Kim jest jego autor?

Nigdy nie widziałem się z Tomkiem Pohlem, pracowaliśmy wykorzystując Internet. Wiem tylko, że jest młodym poetą, który wie, o co chodzi.

Kim są młodzi, którzy śpiewają w chórze?

Diakonia Muzyczna składa się głównie z członków trójmiejskich wspólnot. Przez 10 lat istnienia tego zespołu wypracowaliśmy niezłe brzmienie i spory repertuar. Jednak ostatnio starzy członkowie wykruszają się, bo zakładają rodziny i zazwyczaj pracują w zawodach niemuzycznych.

Czy jest nadzieja, że twoją Drogę Krzyżową usłyszą w Polsce ludzie spoza Trójmiasta? O ile wiem, nie ukaże się ona na płycie...

Na razie nie planujemy wydania płyty audio, ale są szanse na płytę DVD. Misterium zostało zarejestrowane i pod rękoma Yacha Paszkiewicz powstał film ze ścieżką dźwiękową nagraniem przez nas. Staramy się, aby film ten został wyemitowany przez TVP. Gdy data emisji zostanie ustalona, podamy ją na stronie www.ruah.pl

Kiedy warto wybrać się do Kalwarii Wejherowskiej, by usłyszeć was i zobaczyć na żywo?

8 kwietnia tego roku, o 10.00. ■

rozmawiał o. A. Bujnowski OP

K. JAWORSKI



Muzyka Drogi Krzyżowej pobudza do refleksji. Wprowadzeniem w jej nastrój jest odpowiadający każdej ze stacji fragment wiersza ks. Jana Twardowskiego. Ilustruje on muzyczne obrazy Cezarego Chmiela i muzyczne impresje Marka Stryszkowskiego. Dzieło cechuje piękna linia melodyczna i zróżnicowana dynamika utworów. Bardzo wyraźnie odczytywane są muzyczne ilustracje nastrojów – bólu, cierpienia, ale też radości w ostatniej stacji „Grób”, będącej zapowiedzią rychłego Zmartwychwstania Chrystusa. Ostatnio do recytacji tekstów księdza Twardowskiego Marek Stryszkowski zaprosił jednego z najbardziej znanych aktorów polskich, Jana Nowickiego, który sprawił, że widowisko osiągnęło dodatkowy walor artystyczny. Dzięki niezwyklej interpretacji, odpowiedniej artykulacji, akcentom na słowa, czy przerwom pomiędzy nimi, Nowicki wydobył z poezji całą ich głębię znaczeniową. Okres wielkopostny to szczególnie czas przypominający o Męce Pańskiej, Ukrzyżowaniu i Zmartwychwstaniu. Little Egoists swą artystyczną prezentacją przybliżają te Tajemnice na najwyższym poziomie, a ich misterium przeżywa się głęboko religijnie.



Grupa **Little Egoists** Marka Stryszkowskiego, obchodzi w bieżącym roku jubileusz dwudziestolecia. W swoich dokonaniach przez te lata odnosiła wiele sukcesów, nagrała kilka płyt, koncertowała w niezliczonej ilości miejsc w kraju, w Europie i w Stanach Zjednoczonych. Teraz czeka ją kolejna trasa koncertowa z „Drogą Krzyżową”. Najczęściej występują w składzie **Marek Stryszkowski** (lider, as, ss, voc.), **Cezary Chmiel** (keyb.), **Sebastian Bernatowicz** (keyb.), **Tomasz Kudyk** (tp) i **Tomasz Grochot** (dr). Na tegorocznym trasie grupie towarzyszyć będzie **Jan Nowicki** (recytacje). ■

Wiesław Siekierski



W. SIEKIEŃSKI



Tegoroczna trasa prezentacji „Drogi Krzyżowej”:

- 01.04 (sobota) – Krotoszyn
- 02.04 (niedziela) – Opatów
- 04.04 (wtorek) – Krosno
- 05.04 (środa) – Słupsk
- 06.04 (czwartek) – Nowy Dwór Gdański
- 07.04 (piątek) – Sztum
- 08.04 (sobota) – Gliwice
- 09.04 (niedziela) – Ożarów
- 11.04 (wtorek) – Trzebinia
- 12.04 (środa) – Śrem
- 28.04 (piątek) – Zakopane

RUaH jest jednym z patronów medialnych trasy



Legendy RapU

maciej syka

2

Tupac Amaru Shakur

Dojrzewa i rozwija się, jest w środku swej muzycznej kariery, idzie przez życie krokiem szybkim i pewnym. Młody raper getta ma wszystko, co tylko może sobie wymarzyć. Jest w samym centrum świata showbusinessu, którym rządzi sława i pieniądze, tych ostatnich już mu nie brakuje. Jego płyty opowiadające o ciężkim życiu ulicy sprzedają się na całym świecie w milionach egzemplarzy. Wszystko mogłoby trwać i toczyć się tak dalej, ale nad artystą pojawiają się chmury. Ich źródłem jest zaangażowanie Tupaca w tzw. *thug life* (gangsterskie życie). Rodzi ono nieustanny lęk. Przeżywa go również jego matka, Afeni Shakur, która dobrze zdaje sobie sprawę z tego, że jej synowi nieustannie brakuje spokoju i bezpieczeństwa.

Matczyne obawy i przewidywania mają się już wkrótce potwierdzić.

GOTOWY NA SĄD... CZYLI HISTORIA RÓŻY, KTÓRA WYROSLA NA BETONIE

Wieczór, 7 września 1996 roku. Ogromna hala sportowa, setki widzów, błyski fleszy, hałas i najważniejsze – ring. Za kilka minut rozpocznie się wielka gala bokserska i walka o mistrzostwo świata między Mikem Tysonem a Bruce'em Seldonem. Cały ten show odbywa się w MGM Grand Garden w Las Vegas. Walka Tysona jest nieoficjalną imprezą gangsterów, tu spotyka się „elita” getta. W miarę jak obiekt zapelnia się ludźmi, atmosfera gęstnieje i zaczyna jej towarzyszyć nieokreślone napięcie. Tego wieczoru gośćmi są tu naprawdę „wszyscy” liczący się w bussinesie i świecie przestępczym. Wśród członków gangów, szanowanych osobistości, handlarzy narkotyków i wielu innych, w sektorze dla VIP-ów siedzi dwóch przyjaciół: Marion „Suge” Knight – dyrektor firmy nagraniowej Death Row Records, a także jego ostatnie odkrycie – 25 letni młody gwiazdor, raper, Tupac Amaru Shakur.

Rozpoczyna się walka. Mike Tyson w ciągu 109 sekund pięćdziesięcioma płynnymi ciosami powala na deski Bruca Seldoma. Młody Tupac krzyczy z radości do swojego kolegi: „Widziałeś jak mu przyłożył? Widziałeś?”. Te gesty radości miały być jednymi z ostatnich w jego życiu. Wkrótce pojedynek gigantów kończy się, raper wraz z przyjacielem opuszczają obiekt i wsiadają do czarnego luksusowego BMW 750. Po drodze wstępują jeszcze do hotelu, gdzie Shakur przebiera się i wyruszają dalej – na imprezę charytatywną. O 23:15 ich auto z piskiem opon skręca z Las Vegas Boulevard we Flamingo Road. Czarne BMW kieruje się na wschód, na przyjęcie do klubu „662”. Tupaca i Suge'a mijają kilka kobiet w oldsmobile'u. Suge siedzi za kierownicą, a raper obok niego, jego okno jest otwarte. Jest roześmiany, woła do swoich fanów, zapraszając ich, aby przyłączyli się do zbliżającej się wspólnej zabawy. Wkrótce obok nich i za nimi jest już kilkanaście samochodów. BMW zatrzymuje się na czerwonym świetle naprzeciw hotelu Maxim, w miejscu gdzie kończą się neony i wrzawa, a zaczynają się peryferie pustynnego miasta. Z prawej strony podjeżdża do BMW biały cadillac. Jeden z jego czterech pasażerów wyjmując ciężkiego kalibru broń. Padają strzały... Dwie kule przeszywają klatkę piersiową Tupaca, inne jego rękę i nogę.

Kilka godzin później o zamachu na artystę wie już cały świat. Tupac miał okazję być postrzelonym wcześniej podczas różnych drobnych incydentów. Tym razem sytuacja była jednak bardzo poważna. Ciężko ranny artysta w stanie krytycznym trafia do szpitala, tam po 6 dniach ciężkiej walki z bólem umiera. Chciałoby się wręcz powiedzieć – urodzony na ulicy, wychowany przez nią, zginął na ulicy. Sprawców zabójstwa ani białego cadillaca, z którego oddano strzały, nigdy nie odnaleziono i nie zatrzymano.

Dziś niemal każdy fan hip-hopu na świecie wie, iż Tupac Amaru Shakur zginął z powodu istniejących w subkulturze getta podziałów między raperami. Jak twierdzą – Tupac zawsze mówił i śpiewał o tym, o czym myślał. Był bardzo bezpośredni. Widocznie komuś się to nie podobało...

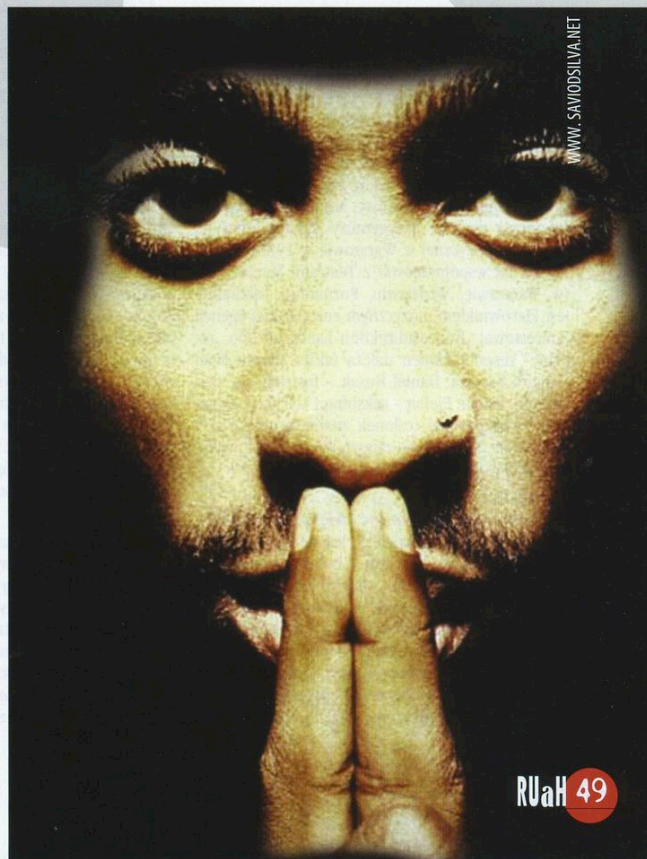
Od tej zagadkowej śmierci najpopularniejszego muzyka hip-hopowego mija już 12 lat. Mimo upływu czasu, artysta jest wiecznie żywy w sercach setek tysięcy fanów. Jego twórczość jest przez nich starannie pielęgnowana i przechowywana, w radiu i telewizji pojawiają się utwory, które Tupac nagrał jeszcze za życia, a które dotąd nie widziały światła dziennego. Zadając sobie pytanie, kim był i czego jest dzisiaj symbolem, chce się powiedzieć, iż bez wątpienia był on nonkonformistą. Jego twórczość, symbol walki z codzienną twardą rzeczywistością, jest bardzo dobrze przyjmowana przez fanów, często nie tylko z kręgów muzyki hip-hopowej. Utwór „My Getto Gospel” („Moja Ewangelia getta”), który podczas ostatnich wakacji zdominował listy przebojów, opowiada o ciężkim życiu w slumsach, gdzie na co dzień dochodzi do strzelanin i gdzie ginie czarnoskóry chłopak. Tupac śpiewa w nim razem z Eltonem Johnem, natomiast teledysk jest opowieścią o tym samym świecie, którego częścią czują się młodzi mieszkańcy dużych osiedli – blokowisk. Wielkość Tupaca jako autora tekstów niezwykłych

piosenek polegała na tym, że nawet później, gdy już mieszkał w bogatej rezydencji i zarabiał wielkie pieniądze, zawsze wracał i przynosił swoim braciom z ulicy świeży powiew zmian (utwór „Changes” – „Zmiany”). Przypominał też, iż w życiu można liczyć głównie na siebie, na paru „ziomków” z ulicy i na Wszechmogącego. Właśnie w kontekście odwołań do Boga, jasno i wyraźnie śpiewał i rymował o tym, iż jest gotowy na śmierć, i że stanowi ona tylko przejście do lepszego świata. Wydawać by się mogło, iż czuł, jak się zbliża, niemalże był na nią przygotowany: „*Będę żył wiecznie. Kogo będę się bał? Nie wylewaj łez z mego powodu, człowieku. Tu nie jestem szczęśliwy. Mam nadzieję, że pochowają mnie i wyślą na spoczynek. W nagłówkach czytasz – „zamordowany”. Mój ostatni oddech...*”.

Do dziś wydaje mi się, że żaden ze współczesnych artystów hip-hopowych nie potrafi mówić o cierpieniu tak, jak to robił Tupac. Kolorowe ubrania, piękne auta, kobiety, wymodelowane fryzury w dzisiejszych teledyskach, to wszystko według Tupaca to tylko blichtr. Twierdził on: „*Nikt nie zna bólu tak jak ja. To odróżnia mnie od innych raperów. Ja widzę i odczuwam cały ból, o którym opowiadam. Czasami nawet za mocno*”.

I to dlatego wtędy, jak i dziś, młodzi ludzie nie rozumiejący często świata odnajdują w jego dorobku pewnego rodzaju pocieszenie. Przy tym wszystkim pamiętają, że był tylko zwykłym człowiekiem, normalnym chłopakiem z sąsiedztwa, który jak każdy miał wiele wad i popełniał mnóstwo błędów. Autentyzm, siła perswazji i błysk w ogromnych oczach powoduje jednak, iż jego teksty znajdują i będą znajdować odbiorców na całym świecie. Młodzi ludzie mają ideały i chcą walczyć o to, co dobre, a Tupac jakby dawał im pewnego rodzaju receptę, przestrzegając zarazem przed błędami, które sam popełnił. Słowa refrenu utworu „My Getto Gospel”: „*Tych, którzy za mną poszli, witam z otwartymi dłońmi. Czerwone słońce zapadnie się w końcu w środku złotych wzgórz. Pokój dla tych młodych wojowników – bez odgłosów strzelaniny*” – wydają się być dobrym drogowskazem. Tak więc, oby młodzi ludzie wyciągając lekcję z tragicznej śmierci Tupaca walczyli o to, na czym im w życiu naprawdę zależy. By toczyli bój do ostatniej kropli potu, lecz właśnie bez odgłosów strzałów... Te są już wyraźnie niepotrzebne... ■

Maciej Syka



„Będę Cię sławił z całego serca,
Bo usłyszysz moje słowa...”

Zespół LUMEN i Psalmi Dawida

Katarzyna Cudzych

NIE MA JAK W RODZINIE

Znam kilka zespołów składających się w większości z członków rodziny. Taka sytuacja bywa trudna, ale przynosi wiele radości (przede wszystkim rodzicom – dzieci zazwyczaj sceptycznie zapatrują się na takie „wspólne muzykowanie”). Kiedy zapytałam Zbyszka, czy jego dzieci miały opory i na uczestnictwo w zespole zgodziły się raczej z grzeczności i obowiązku, zdecydowanie zaoponował i stwierdził, że od początku same też bardzo tego chciały. Mówię o dzieciach, ale przecież rodzeństwo Małkowiczów – Aleksandra (wokal) i Michał (perkusja) – jakiś już czas przedzierają się przez poznańskie licealne szlaki. W trasy jeżdżą wszyscy jednym autobusem i właściwie większość czasu spędzają razem. Jednak o buncie i niechęci do współpracy Zbyszek nie wspominał i mam podstawy, by twierdzić, że robił to szczerze. Są dla siebie wsparciem, wiedzą, czego mogą od siebie oczekiwać, jak sobie pomóc. Zarówno żona – Marzena (solistka Teatru Muzycznego w Poznaniu) jak i dzieci, to pierwsi powiernicy i zarazem fachowi krytycy dzieł powstających spod pióra Zbyszka – założyciela zespołu, kompozytora, pianisty, aranżera i dyrygenta (ukończył wydział dyrygentury symfonicznej na Akademii Muzycznej w Warszawie w 1986). Muzyk ten od lat współpracował z Teatrami Muzycznymi (w Warszawie, Wrocławiu, Poznaniu), aktualnie jest kierownikiem muzycznym europejskiej agencji koncertowej „Konzertdirektion Landgraf”. Do „rodziny” zespołu Lumen należą także: Marcin Figaj – gitara basowa, Daniel Husak – instrumenty perkusyjne, Marcin Piekut – saksofon i klarnet, Dariusz Tokarzewski wokal (członek znanej grupy „Vox”) oraz częsty, a właściwie zawsze obecny gość, wybitny polski wokalista jazzowy – Marek Bałata.

MŁODE POKOLENIE

Jak łatwo można zauważyć, większość członków zespołu to przedstawiciele młodego pokolenia – uczą się, chodzą do szkoły. Zbyszek zaangażował także dziesięciosobowy chór młodzieżowy (nie wspominając już o innych chórach, a wśród nich – 36 z całej Polski, czy nawet Kanady, wykonujących jego utwory, których członkami często były dzieci). „Przebywając z młodzieżą, sam czuję się pełen życia i pragnienia tworzenia czegoś nowego na chwałę Boga”. Komponuje taką muzykę, by przy-

ciągnęła uwagę wszystkich *ludzi otwartych*, w tym także młodych (w najbliższym czasie odbędzie się koncert w poznańskim liceum).

MUZYKA

Trudno ją zasufladkować i jednoznacznie określić, i właśnie o to chodzi. Skoro ma trafić do szerokiego grona, musi zawierać szeroką paletę barw. Dlatego znajdują się tu wpływy różnych kultur, epok, stylów – kompilacja bachowskich fug i mocnych, gospelowych kawałków. Zbyszek jest otwarty na różne style, przynajmniej, że zawsze zachwycały go rockowe kapele, wychował się na nich i, choć twierdzi, że za wcześniej, by wprowadzać taką muzykę do kościoła, podświadome dążenie do przeniknięcia także i takiej stylistyki, z pewnością jest u niego widoczne. Wiele tu kontrastów. Wyrazista, murzyńska rytmika oraz energiczne, ale i pełne liryzmu melodie. Chóry dwuosobowe, ale także dziesięciosobowe, orkiestra symfoniczna, ale i subtelny kwartet smyczkowy. To wszystko można odnaleźć w jego dorobku.

POP-ORATORIUM

Sama nazwa świadczy o zaakcentowaniu faktu, iż projekt ten stoi na pograniczu muzyki poważnej (forma oratorium do niej właśnie przynależy) i rozrywkowej. Oratorium „Miłosierdzie Boże” to hołd złożony Bogu, siostrze Faustynie i Papieżowi. Słowa w całości pochodzą z „Dzienniczka” s. Faustyny, którego sens Zbyszek coraz bardziej zaczął odkrywać i personalnie, dogłębnie do niego trafił. Zespół Lumen stanowi tu niejaka podwalinę dla monumentalnych partii chórów i orkiestry. Oratorium pojawiała się w kościołach większości polskich miast, na wielkich scenach festiwalowych w Polsce i na świecie. Wydarzeniem był na przykład koncert w Toronto, w Roy Thomson Hall, w intencji Ojca Świętego, który zgromadził trzytysięczny tłum spragnionych widzów.

PSALMY DAWIDA

To najnowszy pomysł zespołu Lumen. „Faustyna” *przeciera szlaki* – mówi Zbyszek – *ale teraz pragniemy dotrzeć z Dobrą Nowiną do szerszego grona odbiorców*” Psalmi Dawida są tak uniwersalne i aktualne, że, chociaż powstały 3000 lat temu, dotykają i trafiają do nas tak samo dziś, jak kiedyś. „Jest to także pewien akt denominacyjny – spotkać się razem z protestantami, Żydami. Psalmi mogą stać się dużo bardziej zrozumiałe i przekonujące

dla młodych ludzi, jak i tych nie będących blisko Boga”. Są częścią Biblii, można je śpiewać (słowo ‘psalmi’ pochodzi od greckiego ‘psalterion’ – instrument, przy którym się je wykonywało), modlić się nimi, kontemplować. W ich doborze Zbyszek kierował się przede wszystkim własnymi odczuciami – Pan mówił do niego poprzez nie i rozpalal pragnienie przekazania tego dalej. Psalmów jest 14, są wśród nich te pochwalne, radosne („Niech Jego Imię trwa na wieki”, „Sławcie Pana”), ale i te pełne skruchy i błagania („Bądź moją Skłatą”, „Panie zmiłuj się nade mną”). Opracowanie muzyczne w pełni współgra z charakterem poszczególnych pieśni. Widoczny jest wpływ muzyki gospel (co jest owocem współpracy z festiwalami i warsztatami tej muzyki, np. z ks. Ossowskim, inicjatorem festiwalu „Camp Meeting Osiek”). Obecny jest on zarówno w rytmice, melodyce, aranżach, ale i w zaangażowaniu czynnym widzów w śpiew, taniec, klaskanie. Dużą rolę odgrywa zarówno chór, jak i soliści (często improwizacyjne, adlibitowe wstawki), lecz traktowani są w sposób autonomiczny. Zauważalne jest także odbicie muzyki klasycznej – polifoniczne prowadzenie głosów, ostinato, modulacje. W kilku psalmach odnaleźć można stylizację na kulturę żydowską, występują elementy orientalne i nieregularne metrum (np. 10/8 w Psalmie 117) – trudno by było nie nawiązać do tradycji, z której wywodzi się ten gatunek. Jeśli chodzi o psalmy bardziej kontemplacyjne, utrzymane są w atmosferze pełnej liryzmu, melancholii. Kantylenowe, śpiewne melodie chwytają za serce i zmuszają do refleksji. W muzyce zespołu Lumen najważniejsze jest to, by mówić o Bogu trafiając do najszerzego grona poszukujących osób i w ten sposób przybliżając im miłość Jezusa. Kompozytor odnajduje radość w tym, że próbuje robić wszystko, co tylko może, by im to umożliwić. Sam, gdy pisze, czuje się bliżej Boga i prawdy: „*Chociaż niemal każdego dnia muszę zmagać się ze swoimi słabościami, wątpliwościami, to jednak stale jestem utwierdzony w tym, aby iść dalej tą drogą, aż do samego końca*”.

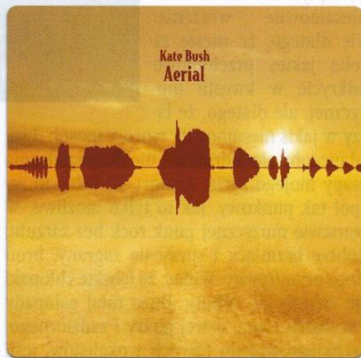
Teraz zespół rozpoczyna nowy etap koncertując z Psalmami. Zobaczymy, jak Pan dalej będzie ich prowadził. ■

Katarzyna Cudzych / keyssy

KATE BUSH

Aerial

EMI 2005 (2CD)



Kolejny powrót niezwyklej artystki, której gwiazda najjaśniej świeciła w latach osiemdziesiątych. Od razu należy dodać – wielki powrót. Kate Bush swoją ostatnią płytę – *The Red Shoes* – wydała ponad 10 lat temu. Niektórzy sądzili, że był to jej ostatni album. I faktycznie wiele na to wskazywało. Wokalistka urodziła dziecko, wychowując je usunęła się w cień i aż do teraz nie dawała znaku życia. Kiedy przeczytałem, że po tak długim milczeniu Angielka ma zamiar wydać nową, w dodatku podwójną płytę, nie spodziewałem się niczego wielkiego. Zwłaszcza, że artyści, których umieszczałem gdzieś blisko dokonani Kate – Peter Gabriel czy Bel Canto – przeżywają ostatnio zdecydowany spadek formy. Wszystkie wątpliwości rozwiąły się po kilkukrotnym przesłuchaniu ponad osiemdziesięciominutowego materiału. Przepięknie wydana płyta przynosi delikatne, niesłychanie nastrojowe utwory, w których uderza przede wszystkim nieprzeciętna muzykalność i dojrzałość kompozytorska. Utwory z dominującym „melancholijnym” fortepianem sąsiadują z kompozycjami nieco bardziej dynamicznymi, a nad wszystkim unosi się kunszt aranżacyjny. Właściwie próżno szukać tutaj przebojów. Tym bardziej imponuje bezkompromisowość pieśniarki, której nie interesuje jak widać komercyjny sukces. A może wynika to raczej ze świadomości, że rewolucji tego typu muzyka już dzisiaj nie dokona i lepiej po prostu z przekonaniem robić swoje? Oczywiście spodziewając się znacznie mniejszego audytorium niż w przypadku chociażby „Sensual World” – klasycznej już płyty z 198 roku. Jednak na „Aerial” pojawia się co najmniej kilka kompozycji dorównujących, a może i przewyższających piosenki z tamtej płyty, więc może i rewolucji nie będzie, ale będzie za to wielki szacunek starych i – z pewnością – nowych fanów.

Marek Horodniczy

KRAFTWERK

Minimum – maximum

Kling Klang / EMI 2005 (2DVD)



Ostatnie dwa lata upłynęły zespołowi Kraftwerk na rejestracji koncertów. Efektem tych działań jest podwójny zestaw DVD „Minimum – maximum”. Zapoznając się z tym obszernym wydawnictwem można odnieść wrażenie, że nie jest to zwykły koncert, a raczej rodzaj widowiska, którego głównymi aktorami są maszyny i

ludzie. Maszyny – bez wątpienia obiekt fascynacji muzyków – potulnie wchodzą w rolę elektronicznej służby. Artyści odwzajemniają się im za wierność doskonałymi wizualizacjami. Oglądamy podane z nutą nostalgii historyczne filmy i slajdy, przedstawiające rowery („Tour de France”), samochody („Autobahn”) i pociągi („Trans Europe Express”). Całkiem dowcipnie robi się, gdy muzycy bawią się podręcznym kalkulatorem („Pocket Calculator”) czy wspominają mikrokomputery typu ZX Spectrum. Czasem przychodzi również czas poważnej refleksji, np. podczas wykonywania utworu „Radioaktivität”, który ma w sobie jakiś złowroźny potencjał. Płyta – bez zbędnych dodatków – jest doskonale przygotowana. Optymalny zestaw 20 utworów oddaje ducha całej twórczości Kraftwerk. Muzycy występują w świecących diodami krawatach i fluorescencyjnych kombinezonach. Oczywiście pojawiają się również legendarne, imitujące muzyków, roboty. Obcowanie z muzyką ułatwia krystaliczna jakość dźwięku. Można by powiedzieć – produkt perfekcyjny. Obawiam się, że wyprodukowany przy pomocy... komputerów.

Marek Horodniczy

MAKOWICZ VS. MOŹDŻER

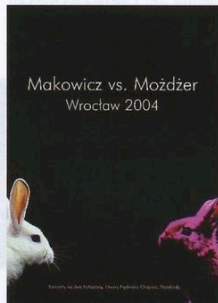
Wrocław 2004.

Koncerty na dwa fortepiany.

Utwory Fryderyka Chopina, standardy

EMI 2005 (DVD)

Co frapującego może być w oglądaniu dwóch pianistów grających Chopina, a potem standardy muzyki jazzowej i rozrywkowej? Tak, oglądaniu, bo po wydaniu płyty CD, będącej efektem artystycznej współpracy Możdżera i Makowicza, wytwórnia zdecydowała się na sfilmowanie i objawienie światu DVD koncertu obu pianistów, który odbył się we Wrocławiu. Nuta kpiny? Owszem. Możdżer swoje pierwsze płyty nagrywał przecież dla małych wytwórni. Swoją największy sukces komercyjny – płytę „Piano” – wydał również w niewielkiej firmie ARMS RECORDS. Krążek sprzedał się nadszczaj



dobrze, zatem należało podkuścić „złote jajo” i zarobić na nim spore pieniądze. A Adam Makowicz? Doskonały jazzman, znany niestety wciąż niewielkiej grupie oddanych wielbicieli, o którego mainstream nie upomniałby się nigdy, gdyby nie upomniał

się o niego Możdżer... A jednak ta płyta ma sens. Mimo, że obraz jest bardzo statyczny, a fortepiany nie tańczą. Z jednej strony jest muzyka wykonywana przez dwóch wybitnych pianistów, a z drugiej autentyczna radość na twarzach muzyków, z których co najmniej jeden jest urodzonym showmanem. Ważniejsza jest oczywiście muzyka – oprócz Chopina (który w interpretacjach obu pianistów często zupełnie nie przypomina Chopina) usłyszymy tu wariacje na temat kompozycji Leonarda Bernsteina, George'a Gershwina, Cole Portera, Duke'a Ellingtona i Krzysztofa Komedy. Na płycie nie znajdziemy żadnych dodatków, żadnej książeczki, żadnych komentarzy. Pozostaje tylko muzyka. Tylko i aż. Muzyka frapująca, zagrana przez frapujących muzyków. A to już jest wystarczająca frajda.

Marek Horodniczy

P.O.D

„Testify”

Atlantic / Wea 2006

Kwartet z San Diego stał się znany dzięki płycie „The Fundamental Elements of Southtown”, jednak na sam szczyt pchnął chłopaków dopiero ich następny album, „Satellite”. Krążek niesamowity, niezwykle eklektyczny a zarazem przebojowy – większość stacji radiowych dosłownie bombardowała nas utworami „Alive” i „Youth of the Nation”. Kolejna płyta P.O.D, zatytułowana po prostu „Payable On Death” (od nazwy zespołu) przeszła z kolei jakby bez echa. Nie wiem, czy było to spowodowane tym, że album nie otrzymał należytej promocji, czy tym, że nowe oblicze zespołu mogło nie spodobać się jego starym fanom. Był to bowiem krążek niemal klasycznie rockowy, zawierający utwory utrzymane w bardzo podobnym klimacie. Przyczynił się do tego zapewne nowy gitarzysta zespołu Jason Truby, jednak i wo-



kalista Sonny nie pozostał „bez winy”, wyrzekając się swojego sztandarowego rapu i koncentrując się niemal wyłącznie na melodyjnym śpiewie. Wyszło ładnie, ale trochę bez tego brudnego, nieokreślonego czadu, z jakiego zespół był znany. No i przy okazji – nieco monotonna. A najnowszy krążek? Do „Satellite” nawiązuje nie tylko samą okładką, ale również i zawartością. Otrzymujemy 13 piosenek, z których niemal każda jest z „innej bajki”. Rozstrzał może nie aż tak ogromny, jak na „Satellite”, jednak ponownie mamy tu sąsiadujące ze sobą bardzo melodyjne utwory rockowe, kawałki zdecydowanie cięższe (rapowane wokale i nisko strojone gitary wróciły do łask!), balladę, numer „gangsta-rapowy” oraz utwór reggae. Ten ostatni to przepiękna, wrzuszająca pieśń pochwalna na cześć Stwórcy wspiewana przez Sonny'ego, wspomaganego przez znanego już czytelnikom RUaH żydowskiego artystę Matisyahu. Potęga! Tę płytę warto mieć choćby dla tego kawałka! Choć spotkałem się z tym, że w pewnych kręgach płyta reklamowana jest jako „najbardziej uduchowiona w dorobku P.O.D”, ciężko mi się z tym zgodzić – zespół po prostu konsekwentnie kroczy obraną przez siebie drogą. Obok numerów mówiących o relacjach międzyludzkich znajdziemy takie, których adresatem może być albo Bóg, albo człowiek, oraz takie, które jednoznacznie są świadectwem wiary muzyków. Czyli w sumie – tak jak było dotąd. Podsumowując: ten album to naprawdę mocna pozycja. Nie sądzę, co prawda, żeby pod jego wpływem zupełnie odstawił „Satellite”, ale chyba nie o to chodzi, prawda? „Testify” to bezspornie kontynuacja tamtej płyty, rzecz, która powinna trafić zarówno do starych fanów kapeli rozmiłowanych w „brudnych” brzmieniach, jak i jej nowych zwolenników, kochających grupę za melodię i specyficzny klimat. Po prostu, kolejny dobry album dobrego zespołu.

Jan Trębacz

2 Tm 2, 3

Koncert
MMP 2006

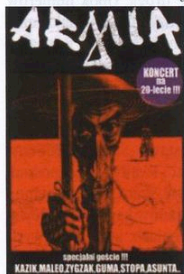
Niniejsze DVD stanowi zapis koncertu Tymoteusza z 30 lipca 1999 roku w Krakowskim Łęgu (to samo studio, w którym Armia zarejestrowała spektakl „Triodante”). Kawalki pochodzą z dwóch pierwszych wydawnictw zespołu i aż szkoda, że wychodzą dopiero po sześciu latach od daty zarejestrowania przez krakowski oddział Telewizji Polskiej S.A. No, ale dzięki temu możemy jeszcze raz zobaczyć Litzę w warkoczykach, Jozka grającego na fujarce i Andzię w zgrzebnym giezleczku. Materiał co tu dużo gadać w większości czadowy prezentuje początki działalności zespołu i już choćby z tego względu powinien znaleźć się na półce każdego fana na na (fana na na - kto to śpiewał??). Dziwię się, że Metal Mind, który jest wydawcą płyt zespołu, tak małą wagę przywiązuje do merytorycznej zawartości wydawnictwa, było nie było jednego z koni z własnej stajni. Co prawda, wydawnictwo niesie za sobą 120 minut bardzo profesjonalnie nagranych i dość ciekawego wizualnie wydarzenia, to jednak minęło już sześć lat w historii zespołu i warto by było zamieścić więcej materiałów tę historię opisujących niż tylko dyskografia i dwa na dokładkę przestarzałe wywiady... Na szczęście są tam teledyski do „Shalom”, „Psalm 40” i „Psalm 23” oraz zapis „Słuchaj Izraelu” z koncertu w Lublinie z towarzyszeniem chóru i chyba setki kantorów - robi to niesamowite wrażenie!!! No, ale biorąc pod uwagę, że jest to pierwsza tego typu płyta DVD związana z Tymkiem to i tak niezłe. Obowiązkowa pozycja bez dwóch zdań. Podziękowania dla Józefa, który wypożyczył mi obie płyty do zrecenzowania.

Grzegorz Waclaw a. k. a. dziki

ARMIA

„Koncert na 20-lecie”
MMP 2006

Bez wątpienia jest to jedno z najważniejszych wydawnictw minionego roku. Pierwsze wydawnictwo zespołu dokumentujące najfajniejszy chyba koncert, jaki widziałem w swoim życiu. Rzecz miała miejsce 27 stycznia 2005 roku w Warszawskim klubie Stodoła i była fetą z okazji dwudziestolecia powstania zespołu. Budzy, niczym ostatni Mohikanin, który pozostał z oryginalnego, czy może raczej z pierwotnego składu zespołu, zaprosił kilka znakomitości polskiej sceny alternatywnej do uświetnienia rocznicy. Pojawiający się goście (Kazki z Kultu, Zygzak z T.Z.N. Xenny) zaśpiewali w kawałkach Armii: Grymuza z gitarą akustyczną w pochodzącym z „Triodante” „Miejsu pod słońcem”, Maleo i Stopa w secie reggae, Asunta ze Sławkiem Gołaszewskim i wreszcie Guma z Moskwą dali koncert tak niesamo-



wowity, że zdziwiłbym się srożej, gdyby nikt tego nie zarejestrował. Pamiętaj, że czynniki tzw. oficjalne prawdopodobnie nie byłyby i tak zainteresowane zarejestrowaniem koncertu zespołu, który mimo wszystko do topowych nie należy i zrobić się na tym nie da, grupa przyjaciół związana z zespołem dokonała rejestracji korzystając ze zdobyczy współczesnej techniki (kamery cyfrowe) we własnym zakresie. Oględnie

rzecz nazywając, ich umiejętności operatorskie nie należą do profesjonalnych, ale dzięki temu ta płyta ma tak niepowtarzalny charakter niezależnej produkcji. Czuć gorącą atmosferę koncertu, emocjonalne zaangażowanie „operatorów”, którzy o kadrowaniu i kreacji „z ręki” dowiedzieli się nie na zajęciach w szkole filmowej, ale w praktyce. Często kontrast pomiędzy obrazem a super jakością dźwiękiem (Edziu Sosulski stanął na wysokości zadania, duże brawa!!!) potrafi rzucić się w oczy, ale z nawiązką wynagradza to fakt, iż filmowali oni rzeczy, na które profesjonalści z pewnością nie zwróciliby uwagi. No i nie była to taka zupełna partyzantka - jedna kamera na scenie a druga rejestrująca z oddali w długim planie całość sceny pozwoliły na taki montaż obrazu, że dynamika obrazu daje naprawdę ciekawy efekt. Słabo? Całość uzupełniają wstawki z urodzinowego przyjęcia i fragmenty utworów śpiewane przez fanów, powklejane pomiędzy poszczególne kawałki. Dzięki temu całość zyskuje ciepły, niemal rodzinny klimat - oto jesteśmy tu już dwadzieścia lat, ale w tej podróży nie jesteśmy sami. Uważam, że to wydawnictwo ciekawe nie tylko dlatego, że pokazuje zespół w pewnym momencie jego historii (przekrój muzyczny przez wszystkie płyty, za mało „Legendy”), czyli etapy jego twórczości łącznie z Siekierą, w której Tomek zaczynał) ale zobaczymy też ludzi z drugiej strony sceny, którzy pamiętając o rocznicy ufundowali dla zespołu miecz - czym zaskoczyli Budzego, wręczając go na jego ręce, na oczach zgromadzonej publiczności, by pomagał mu walczyć z Mordorem. Reasumując, jest to pozycja obowiązkowa dla wszystkich fanów muzyki, nie tylko forumowiczów. Rzadko można spotkać materiał tak niespotykany, co interesujący. Po obejrzeniu byłem po prostu zachwycony. Wy też będziecie.

Grzegorz Waclaw a. k. a. dziki

SOLUS CUM DEO SOLO

Dzięki łasce

SCDS Toruń, 2005

Solus Cum Deo Solo - sam na sam z Bogiem - tak brzmi naczelna zasada Ordo Sancti Pauli Primi Eremiti, czyli Zakonu św. Pawła Pierwszego Pustelnika i jednocześnie nazwa zespołu firmującego płytę „Dzięki łasce”. Przesiałem się temu dziwić, gdy przeczytałem, do kogo muzyk adresują podziękowania. Aż się tam roi od paulinów, i to dobrze mi na dokładkę znajomych. Muzyka, to ładnie skomponowana i zaaranżowana *praise music* - coś w sam raz dla mojej żony, a nie dla takiego wyznawcy krwistego hard core'a jak ja. Ale słucha się tego



wyśmienicie - nowoczesnie zagrane (miejscami fajne tempa i nawet przesterowane gitary - na co nie zawsze się odważa muzyk z tego kręgu) i zaśpiewane przez chór. Smaczki typu - drumla, tarabuka i mniej znaczące zabawki dodają płycie kolorytu, a poszerzenie instrumentarium o trąbkę i saksofon daje tej muzyce oddech. Cała płyta to jeden wielki hymn dziękczynno-pochwalny. Idealny do tego, by się z nim budzić rano i kłaść spać wieczorem. Słuchać w tej muzyce wewnętrzną radość ludzi żyjących w zgodzie i łączności z Bogiem, ludzi rozradowanych tą łącznością, którzy mają pragnienie, by wyspiewać to, i swoje pragnienie realizują. Znacząca pozycja, jeśli chodzi o uzupełnienie oferty pomiędzy Oweyo, Deus Meus, a śpiewami z Taize.

Grzegorz Waclaw a. k. a. dziki

AGAINST ALL ODDS

Jedno życie
AAO 2005

O, ta płyta zrobiła na mnie niesamowite wrażenie. Nie dlatego, że niesie za sobą jakieś przełomowe odkrycie w kwestii muzycznej, ale dlatego, że łączy w jakiś niesamowity wprost sposób dwa, zdawałoby się, odrębne i nie do pogodzenia etapy mojego życia. Against All Odds to zespół tak punkowy, jak to tylko możliwe. W warstwie muzycznej punk rock bez zarzutu, dobrze brzmiący i sprawnie zagrany, broń Boże prymitywny. Widać, że lebskie chłopaki się zabrali do roboty. Dużo tutaj galopady i szybkich temp, ostrej gitary i zadziornego, szybkiego wokalu (dwóch wokalistów, jeśli się nie mylę, śpiewałyby w ten sposób zupełnie swobodnie - dla jednego to już duża sztuka). W sumie, jeśli już do czegoś miałbym to porównać, to pachnie Conflictem - nie dość, że „against all odds” to tytuł jednego z ich albumów, to jeszcze Conflict był pierwszym z punkowych zespołów, u którego usłyszałem klawisz. AAO również ubogaca aranżę klimatycznymi pasażami z klawiatury. A teksty? Teksty to bajka. Nie wiem, jak by się potoczyło moje życie, gdyby dwadzieścia lat temu ktoś śpiewał o takich rzeczach, w taki sposób. Dojrzałość przesłania i łamanie schematów dodają tej płycie ze dwa razy więcej wartości. Naprawdę, rzecz jest godna uwagi, bo rzadko się zdarza, by punk został podany nie tylko w atrakcyjnej zewnętrznie formie - o ile słucha się punka lub czadów na co dzień, ale jeszcze na dokładkę wykracza poza nihilizm, zdawałoby się definiujący ten gatunek. Eee... mówilem już, że koło, które kręci tym projektem, jest księdzem? Wbrew temu, co śpiewają, daje się pogodzić ciemność (punk) ze światłem (Ewangelia) i to z korzyścią dla tego pierwszego. Ze spokojem mogę nadać tej płycie certyfikat Mocnego Ramienia.

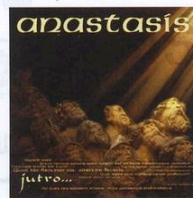
Grzegorz Waclaw a. k. a. dziki

ANASTASIS

Jutro...

paganini, Kraków 2005

No, widzę, że *paganini* na serio zabrał się za wydawanie czadowej muzyki, tak więc dyskusje o tym, czy tak agresywne brzmienia można połączyć z jednoznacznie chrześcijańskim przesłaniem (które dla mnie zawsze były tak głupie, że zabieranie głosu w jego sprawie uważałem za marnowanie i czasu i tej odrobiny intelektu, która mi jeszcze pozostała) możemy odłożyć do lamusa. Oto zapewne jesteśmy świadkami powstawania niezależnego labelu, w którym każda czadowa kapela o jednoznacznie odmiennym od obowiązującego światopoglądu, może teraz wydać płytę. No i dobrze. Nie każdy może być Armią czy Tymoteuszem, ale warto pomóc tym zespołom zaistnieć na rynku. Choćby i po to, aby każdy, kto zwraca uwagę na przekaz,



jaki niosą ze sobą zespoły, mógł sięgnąć po nieskazitelną demonerkę i erotyczno-narkotycznie-konsumpcyjnym sztafżem gwiazd rocka utwory. „Jutro” zespołu Anastasis wpisuje się w ten ciąg i mimo że proponowana przezeń muzyka (jak dla mnie, coś z rejonów nu-metal) do moich ulubionych nie należy, to jednak lawina została poruszona i chyba nikt jej nie powstrzyma... Oby. Bo ja po prostu wolę mieć wybór pomiędzy kilkoma różnymi propozycjami, niż być ciągle skazanym na te same mordy. Bardzo staranna jest ta płyta. Dźwięki są wręcz wypieszczone, wokalista śpiewa, gitarki brzmią zadziornie, dużo to kontrastów, przejść od czadu do liryki. Generalnie, mimo że to nie są moje klimaty i Anastasis do moich ulubionych kapel nigdy nie należał, to jednak płyty wysłuchałem z zainteresowaniem, a taka „ropucha” to mi nawet w ucho wpadła. Oby tak dalej – polecam szczególnie tym, dla których samo P.O.D. nie wystarczy, by zaspokoić ich głód n tego typu muzykę.

Grzegorz Waclaw a. k. a. dziki

KAPELA PRZYJACIELA

JUŻ IDE

Kapela Przyjaciela 2005

Gdyby ktoś kiedyś powiedział mi, że będę recenzentem płyty polskiej formacji bluesowej, śpiewającej bluesa w języku polskim, z pewnością potraktowałbym jego słowa z lekkim pobłażaniem.

Nigdy nie byłem przekonany do trafności takich projektów. Powód? Poza dwoma wyjątkami, o których za chwilę, nie słyszałem, aby któryś z rodzimych muzyków poradził sobie zgrabnie i przekonująco z interpretacją polskiego języka w sposób taki, aby zbliżyć się do specyficznego brzmienia angielskojęzycznych bluesowych tekstów. Jeszcze



gorzej, kiedy polskie słowa są na siłę upychane do tradycyjnych, opartych na kadencji ośmio- czy dwunastotaktowych schematów bluesowych. Choćby najlepszy tekst, całość traci imprezę przy biwakowym ognisku. Jak napisałem, moim skromnym zdaniem, są dwie

osoby, które wyszły obronną ręką, powiem więcej, po mistrzowsku poradziły sobie z pułapkami polskiego języka. To Czesław Niemen i Rysiek Riedel. Dotykamy tu muzycznego ideału i udowadnianie tego byłoby nie na miejscu. Kapela Przyjaciela poradziła sobie z językiem na dwa sposoby: po pierwsze na płycie znajdziemy raczej bluesowo-rockowe piosenki, czerpiące z tradycji bluesa, a nie typowe bluesy i to duży plus. Po drugie, i chyba najważniejsze, teksty te mówią o czymś!!!! Autorzy zawartych na płycie utworów bardzo przekonująco i z dużą swobodą (co prawdopodobnie wynika z ich profesji) przemawiają do słuchacza. Jest takie powiedzenie – jazz wyszedł z domu rozpusty, blues wyszedł z kościoła. Kapela Przyjaciela jest jakby kłamrą spinającą okrąg, po którym toczy się historia. Na początku XX stulecia muzyka spirituals i gospel, potem długie lata pełne przeobrażeń w muzyce bluesowej, powstające nowe gatunki, połączenia z innymi stylami, zmiana tematyki tekstów z kościelnych do zaśpiewek traktujących o pracy, miłości – często przegranej, wolności, czy zwykłym codziennym życiu. Jakkolwiek by historii bluesa nie wspominać,

zawsze miał jedno bardzo ważne zadanie – nieść nadzieję i dodawać sił. Płyta „Już ide” na pewno to przesłanie zawiera. To budujące, że pojawia się na rynku produkt, którego twórcy jakby przypominali nam – Hej, panowie bluesmani! Może znowu zaczniemy śpiewać o rzeczach ważnych?

Mark Knopfler podczas wywiadu udzielanego Polskiej Telewizji powiedział – Niepokoi mnie wiek tych wszystkich młodzieżowych idoli, to przeważnie nastolatki, których słowa kształtują myślenie ich młodych fanów. Co takie dzieciaki mogą im przekazać z życiowej mądrości?

Kapela proponuje płytę, której treści są jej największym atutem. Drugą bardzo ważną zaletę znajdującą się na muzyce i formie słuchacza odkryją od razu. To bardzo przemyślane i rzetelnie wykonane aranżacje, ukłon w stronę gitarzystów, za punktualnie zagrane z basem podkłady i nietawne riffy oraz sensowne solówki. Na uwagę zasługują potraktowane ze smakiem partie instrumentów klawiszowych i ich bardzo piękne brzmienie. Może jedna uwaga do wokalisty, proponowałbym unikać naśladowania brzmienia i manieri Ryska Riedla (mamy tego sporo na rynku), na płycie są niektóre utwory zaśpiewane naturalnym głosem, brzmią dużo lepiej. Jednak zdając sobie sprawę, jak ciężką pracą jest wyrobienie własnego stylu i wiem, że potrzeba na to wiele czasu. Znam poprzednią płytę zespołu, zatytułowaną „Pociąg zbawienia”, od jej wydania minęło 6 lat i nie był to z pewnością czas stracony! Słucham „Już ide” i odnajduję brzmienia Lynyrd Skynyrd, Allman Brothers Bandu, Dżemu, każdy kolejny utwór wydaje się lepszy od poprzednich. Płyta, w miarę słuchania, wciąga coraz bardziej, by zakończyć się dwoma utworami w towarzystwie Kapeli Gąsieniców. Ten z pozoru dziwny pomysł okazuje się trafiony w dziesiątkę, polscy górale wruszają, brzmią całkiem bluesowo (może sprawił to nastrój poprzednich piosenek na płycie) i w jakiś magiczny sposób łączą nas ze wspomnieniami z Wadowic, choć to przecież nie ta piosenka!!!! Tak więc idąc za słowami Erica Claptona z bluesa „Further on up the Road” – podążajcie z Kapelą Przyjaciela w górę drogi do słońca, ożywczego wiatru, muzyki Boga...

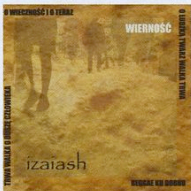
Romuald Sławiński (Mietek Blues Band)

IZAIASH

Wierność

paganini, Kraków 2005

A oto druga płyta Izaiasha wpadła mi w ręce. Z pierwszą nie miałem jeszcze okazji się zapoznać, więc nie mogę napisać, jak się jedna ma do drugiej. „Wierność” przynosi, a jakże, reggae w wymiarze całych 53 minut. Nie jest to reggae zaprawione nowinkami w stylu dancehall czy raggamuffin. Jest bardziej tradycyjne, korzenne i może nieco naiwne. Na pewno kojarzy mi się to z wczesnym etapem działalności zespołu Izrael czy Immanuel – podobne klimaty, indiańskie pohukiwania. Nawet w warstwie tekstowej penetrują podobne rejoy (walka trwa, a polem walki jest kultura), co ma swoje odzwierciedlenie w śpiewanych piosenkach, vide – „pancerzem wojownika jest jego pierś”, „Idą pokolenia pogan” Tyle, że tutaj jest to wszystko przetrawione przez kilka lat studiowania Biblii – większość z tych pieśni jest jak zakamuflowane kazanie odważnego klechy, który nie boi się mówić



wiernym w kościele, że koniec jest blisko, a diabeł bezustannie na nich poluje, próbując ich pożyć. Jednym słowem, żarty się skończyły – „to kogo się słucha, za kim się idzie, czy kogo się czyta” – ma swoje znaczenie. No, ja co prawda biskupem nie jestem, ale gdybym był, to całej tej płycie imprimatur bym wystawił bez wahania. Nie dość, że przesłanie tej płyty jest ze wszech miar bezpieczne (można zaczerpnąć ducha o chrześcijańskiej proveniencji), to jeszcze fajnie się tego słucha. Eee... mówilem, że jeden z tych koleś to ksiądz? Ale płodni ci księża... He he he.

Grzegorz Waclaw a. k. a. dziki

KORZEN Z KRAJU MELCHIZEDEKA

Radikała

Wydawnictwo WAM, Kraków 2005

Przyznam szczerze, że nie słyszałem o tym zespole, zanim nie natknąłem się w grudniowym numerze RUAh na dwukrotnie zamieszczony, mocno enigmatyczny i zdawkowy opis tej płyty. Zaintrygowało mnie to, sięgnąłem po płytę i... doznałem szoku. Mało, powaliło mnie to na łopatki i rozwaliło kompletne. Dwóch koleś – Baranek (kolejny ksiądz) i DJ Fabbs – wykroili płytę hip-hopową na tak wysokim poziomie, że szczęka mi opadła. Nie dość, że zmysłnie poklejone podkłady i loopy świeże, to jeszcze zgrane to jest z głową i bez absolutnie żadnych kompleksów – no i przede wszystkim nie przypomina pod żadnym względem zjawiska polskiego chrześcijańskiego hip-hopu. Radykalne teksty od razu wybijają Cię, człowieku, ze względności samozadowolenia (np. ekologiczny flow w utworze „Nie gryź ziemi”: *...że wam się przypadkiem tyle ścieżków wylało?, czy – ściema śmierdzi jak cholera, tak się wylania z rymstoka jak z cienia sylwetka miejskiego dilerka* – w „Żadnych dragów”). Ale to tylko rozgrzewka. „Hal-Halleluja” to pieśń uwielbienia... ale jeszcze takiego uwielbienia nie słyszałem – ze skreczami, i rytmem jak się patrzy – *...dobrze jest grać naszemu Bogu, dobrze jest rapować na Jego chwałę, On odbuduje święte Jeruzalem, On z nas na nowo uczyni Izrael*. – Z kolei „Salvator Mundi” to niby chwila oddechu – korg jak bębny i na pozór spokojnie rozpoczęty śpiew przechodzą w bezlitośnie wyskandowany list św. Jana – ech, hip-hopowy Tymoteusz cisnie się na usta. No, ale jest różnica – tak głęboko osadzonego tekstu w problematyce społeczno-gospodarczej próżno na płytach Tymoteusza szukać (póki co). Ale za to kolejny kawalek, to już jest mistrzostwo świata i tutaj Barankowi trzeba oddać honor – tak odważnej, a jednocześnie chwytliwej wersji „Te Deum” (witamy w XXI wieku!) próżno szukać gdziekolwiek. Bit + rytm + nawijka + glosolalia + do tego równoległa wokaliza z oryginalną linią melodyczną tworzy mieszanekę wprost piorunującą. I napięcie wcale nie opada. W „Gruzach Babilonu” DJ Fabbs jak opętany drze się – *jestem anarchista, jestem bojówkarzem, bo chcę z mojego serca wykorzenić wszelkie zło... jestem komunistą, bo wierzę w komunię między ludźmi i Bogiem, zresztą zgodnie z Księgą Przysłów... Mówię poważnie, zatkało mnie i płyta dłuższy czas z odtwarzacza nie wyskakiwała. I tak, jak chłopaki nawijają w „Jak David”, maksymalnie energetyzującym psalmie dawidowym w rytmie raga, do którego nogi same rwą się do tańca: – *bo Imię Boga jest potężne, śpiewaj Mu i tańcz* – ręczę, że takiej zabawy nie znajdziecie nigdzie indziej. KZKM rulez!*

Grzegorz Waclaw a.k.a. dziki

RUT

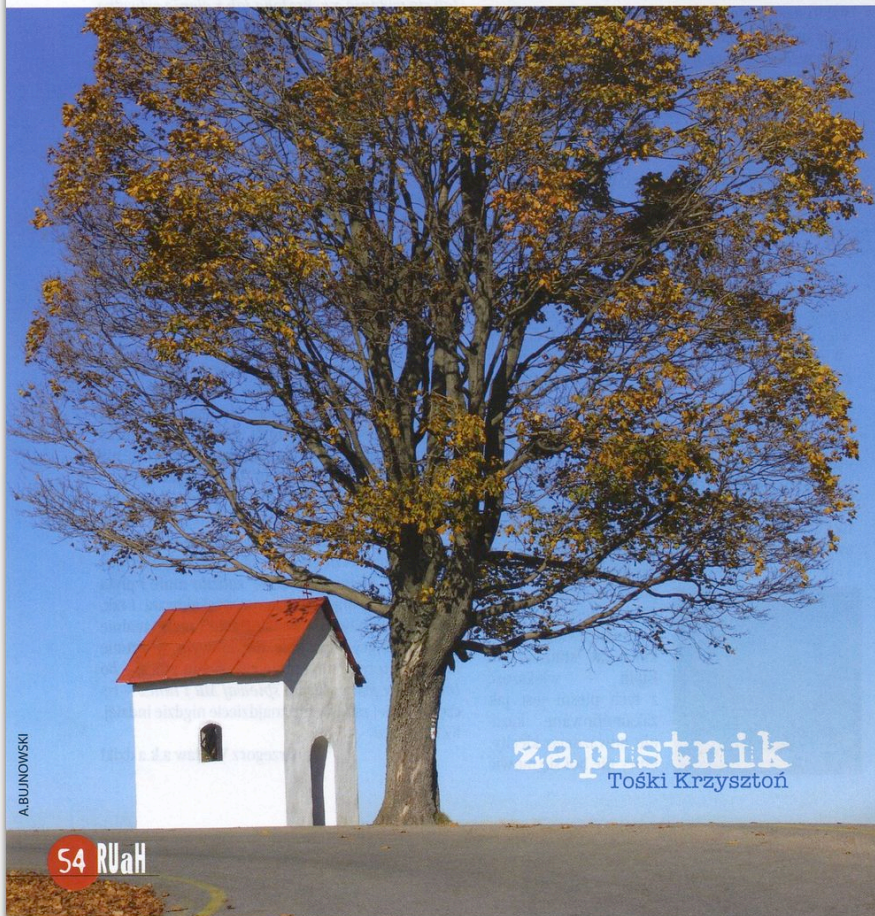
Wszystko zaczęło się w dość dziwnych okolicznościach, jak na narodziny zespołu, którego pasją jest promocja Ewangelii. W letnie popołudnie 2004 roku w jednym z pubów w Białej Podlaskiej spotkali się Szymek i Peny. Obaj wiedzieli, co chcą robić, bo ich drogi życiowe, choć bardzo różne, prowadziły w tym samym kierunku. Brakowało tylko odpowiedzi na pytania: jak i z kim? Gdyby połączyć zamiłowania muzyczne jednego i drugiego, to pewnie wyszłyby z tego mieszanka wybuchowa, bo jak inaczej można nazwać mix jazzowej wirtuozerii z ciężkimi, brudnymi gitarowymi riffami? Choć tamtego letniego popołudnia nie wiedzieli, w jaką stronę wszystko pójdzie, jedno było jasne - zespół będzie się nazywał RUT. Jeśli każde Boże dzieło musi przejść swoją próbę wyrzeczeń, trudów i upadków, by w ten sposób oczyścić swe intencje i nabrać sił, Rut ma już to wszystko za sobą. Problemy finansowe, brak sprzętu, kłopoty ze skompletowaniem składu... Nazwa zespołu nie jest więc przypadkowa, bo przecież Rut jest biblijnym synonimem wierności i stałości, a ta przetrwała najcięższe próby. Doświadczenia zespołu okazały się na tyle ciekawe, że telewizyjny Magazyn Młodzieżowy „Raj” poświęcił mu jeden ze swoich programów wyemitowany w styczniu b.r. Po pokonaniu wielu przeciwności prace nad debiutanckim materiałem rozpoczęte latem 2004 roku dziś są już ukończone. Premiera maxi singla zatytułowanego „Grzech” miała miejsce w lutym. Stylistyka, w której porusza się zespół, znalazła swoją przystań, a jest nią ciężkie hardcorowe granie ubarwione prostymi i dobitnymi tekstami. Po pierwszych koncertach, które były czasem nauki i zbierania doświadczeń, przyszedł czas na prawdziwe wyzwanie. Na przełomie lutego i marca zaplanowano trasę koncertową „MARNY TRUD TOUR 2006” W tym czasie na 17 koncertach w całym kraju Rut u boku zespołu Triquetra promował swoje debiutanckie wydawnictwo. Z końcem sierpnia światło dzienne ujrzy projekt „8 Błogosławieństw”, kontynuujący wydawnictwo o nazwie „Hip-hop Dekalog” Tym ra-

zem łódzcy salezjanie postanowili połączyć wiele stylistyk muzycznych i jednym z wykonawców na płycie będzie Rut.

W ciągu 18 miesięcy przez zespół przewinęło się wielu muzyków. Jedni mieli zostać na stałe, inni przychodzili tylko na chwilę, by wesprzeć studyjne prace. Obecny skład zespołu to: Szymek (gitara i vocal), Karol (gitara), Maciek (bębny) i Olek (bass). Bóg błogosławi tym, którzy Mu zaufali...

Wszystkich zainteresowanych studentami dziennikarstwa, którzy w warszawskich realiach życia chcą płynąć pod prąd, realizując przy tym swoje powołanie, zapraszam na stronę www.rut.kdm.pl

mirek „miru” kirczuk



ABUJNOWSKI

z a p i s t n i k
Tośki Krzysztoń

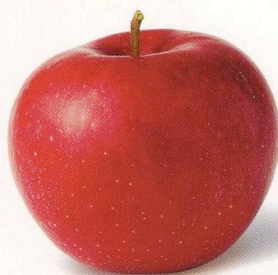
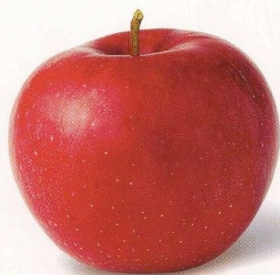
54 RUaH

CZASEM CHAŁUPA CZASEM KRZYŻ

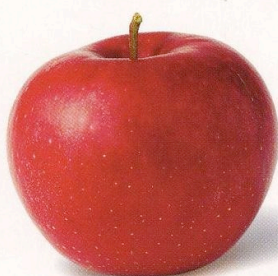
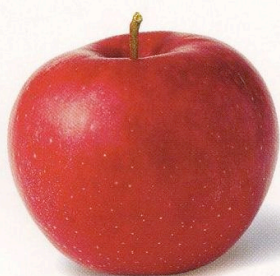
Kończy się zima. Tak myślę za każdym razem, gdy budzi mnie coraz mocniejsze słońce. Mam okno, przez które wpada światło, szczególnie od czasu, gdy ścieli drzewo. Drzewo, z którym łączy mnie tyle wspomnień. Kilka tygodni temu zobaczyłam je leżące tak po prostu na białym śniegu. Jagody jarzębiny i dwie zamarzniete sikorki na roziskrzzonej bieli. A moje pierwsze w życiu drzewo rosło w Szczucinie. Rosło i rośnie. Stary dąb. Tyle osób pod nim siadywało, a nieopodal palono ognisko. Pamiętam tabory cygańskie. Cygańskie pieśni. Pierwsze zasłyszane, oprócz tych, które nuciła moja mama i babcia. I mleczne radyjko - szarotka, z którym nie rozstawał się mój tata. „Widzę” go, jak leży w trawie z szarotką - zasłuchany - jest nawet takie zdjęcie. Drzewo - dom ptaków Drzewo z kory obdarte Z którego czasem chałupa czasem krzyż ...

W środę popielcową przytulam was i życzę otwartego wywietrzonego serca

Talea



cztery jabłka
ruah 34



1. TIE BREAK Sprawiedliwość
2. ZIEMIA KANAAN Początku bez początku
3. CEZARY PACIOREK I DIAKONIA MUZYCZNA JEZUS ŻYJE
Stacja I Drogi Krzyżowej
4. RUT Grzech
5. KATOLIKA FRONT Hej, Ty słuchaj
6. MONIKA DZIURLIKOWSKA Pan Bóg przede mną
7. MARZENA GRZYMAŁA Jezu Chryste Panie miły
8. SCHOLA DOMINIKAŃSKA Kraków Duch Pański nade mną
9. SOLUS CUM DEO SOLO Przenikasz mnie
10. MATE.O Dobranocka dla...
11. KORZEŃ Z KRAJU MELCHIZEDEKA Radikała
12. MIASTO Ciebie
13. PIOTR WOJTASIK & JUDY BADY We Want to Give Thanks

bonusy

1. Teledysk MAGDA ANIOŁ Lolek
2. Film o festiwalu GÓRA TABOR

paganini

ul. Batorego 25/11 31-135 Kraków www.paganini.com.pl

CD 51 płyta dołączona do 34 numeru Magazynu Muzycznego RUaH

design: marcin jakiś mowicz

cztery jabłka
ruah 34

Paganini

CD 51

Wszelkie prawa autorskie
i prawa producenta do nagrań utworów
zastrzeżone. Kopiowanie, wynajmowanie,
wypożyczanie, wykorzystanie tego nośnika
do wykonań publicznych
i nadań RTV bez zezwolenia zabronione.